Nr. 6. Poznan, Niedziela dnia 6 lutego 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy

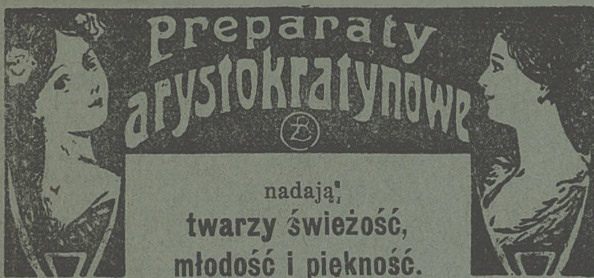
Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 97.

rabatu następnie:

przy czteroraz (miesięczn.)	"	15%
" kwartalnem 13 ×	"	25%
" półrocznem 26 ×	"	33 1/3%
" rocznem 52 ×	"	50%

Abonujcie i polecajcie „Pracę."

„Praca" kosztuje kwartalnie 1,50 M.



Czerwone i popękane ręce
stają się po użyciu

Kremu Arystokratynowego

śnieżno białe i delikatne.

Krem Arystokratynowy nader przyjemny w użyciu, gdyż nietłuszczący. 454

Do nabycia wszędzie.

Chem. Laboratoryum

Z. Rittera Nast.

Poznań, św. Marcin 20.



Co dopiero wyszło drukiem

Libretto polskich pieśni

nagranych na płytach gramofonowych.

Część I. zawiera: piosenki ludowe, kościelne, koncert. i 14 monologów, całość 144 stron druku na pięknym trwałym papierze, kosztuje tylko
1,— mk., z przesyłką 1,20 mk.,
oprawne 1,50 mk., „ 1,70 mk.

Libretto to jest każdemu, kto gramofon posiada, koniecznie, potrzebnem, bo:

1) ułatwia w obieraniu, nowych płyt, albowiem już naprzód sobie można przeczytać tekst odnośnych płyt.

2) ułatwia zrozumienie płyt przy graniu na gramofonie i daje możność nauczenia się tych wszystkich aryi i piosenek na pamięć. 410

3) służyć może jako śpiewnik, deklamator.

Część II wyjdzie wkrótce z druku, illustrowana portretami artystów, zawierać będzie wyjątki z oper, operetek i około 40 kupletów.

O spieszne zamówienia uprasza
St. PEŁCZYŃSKI, Poznań, ul. Wodna 13, na I p.

Dobra egzystencya!

Biegły kupiec, posiadający gotówki około 10—15 tys. marek, może przejąć bardzo korzystny interes **w Gnieźnie** w bliskości rynku, a składający się z **destylacyi, restauracyi z największym zajazdem** dla okolicznych gospodarzy, handlu korzonnego i **browaru** piwa pojedyńczego. Ostatni jest od roku do roku wydzierżawiony i ma doskonałe powodzenie Wszystko to razem wraz z domem **przynoszącym przeszło 6000** mk rocznej dzierżawy, można nabyć z zaliczką 10—15 tys mk., jeżeli kupujący okaże się zdolnym i energicznym kupcem; w takim razie powierzy mu się filia poznańskiego bardzo rentującego się interesu. Łask. oferty przyjm. ekspedycya tego pisma pod nr. **449.**

B. Bąkowski

Poznań W. 6, ul. W. Berlińska 65.

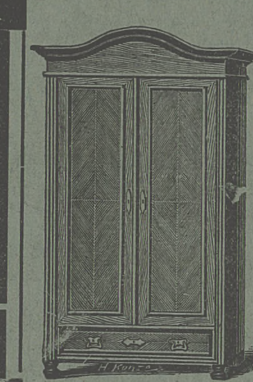
Jedyna polska abryka

okien inspektowych.

Wielki zapas gotowych okien na składzie.

Hurtowny handel szkła.

Cenniki na życzenie franko. 393



MEBLE! MEBLE!

Całe pokoje sypialne, mieszkalne, jadalne, salony, pokoje do pracy

po cenach najniższych

14 poleca

S. Krąkowski, Poznań

ulica Podgórna 8.

Specyalna oferta!

Wszystkie towary polepszone po znanych tanich cenach.

Polecam specyalnie:

Kakao (gwar. czystość) funt 1 20, 1.60, 2.00, 2 40.
Proszek czekoladowy funt 60, 80, 1 00, 1.20.
Keksy maślanne funt 60, 1.00, 1.20, 1 60.
Pralinki nadziewane funt 80, 1.00, 1.20, 1 60.
Pralinki warszawskie funt 2.00, 2 40, 3.00, 4.00.
Cukierki deserowe funt 60, 1.00, 1.20, 1.60, 2.00.
Czekolada łamana (czysta) funt 90 fen. i 1.20.
Czekolada śmietankowa funt 1.40 1.60, 2.40.
Karmelki owocowe funt 40, 60, 80.
Karmelki owocowe nadziewane funt 1.00, 1.20
Karmelki piersiowe funt 60, 80, 1.00.
Sok malin. czysty funt 50 f.
Kawa Wiatraka funt 1.00, 1.10, 1.30, 1.50, 1.70, 1.90 i 2.10.

Stefan Prądzyński,
Poznań, Stary Rynek 59/60, wchód z ul. Wrocławskiej, Stary Rynek 91. wchód z ul. Wronieckiej i Chwaliszewo nr. 1 przy moście.

Pan **Józef Balcer** objął sprzedaż moich wyrobów na Księstwo Poznańskie i gwarantuje za sumienne i szybkie załatwienie wszelkich zamówień. Wysyłki na prowincyę uskuteczniamy z interesu głównego Stary Rynek 59/60. 356

! Od 6-ciu marek przesyłka franko !

Meble

po jak najniższych cenach
li tylko rzetelny towar.

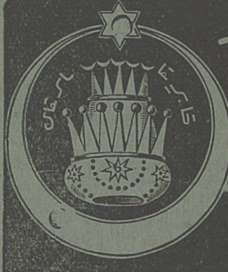
W. Mierkiewicz 271

Mistrz stolarski
W. Garbary 40
(narożnik Grobli.)
Przystanek kolei elektr.

Zakład dentystyczny

„Reform“

E. Karlewicz
Poznań, ul. Wrocławska 20
(przy placu Piotra.) 355
Wykonanie pierwszorzędne.
Ceny nader umiarkowane.
Operacye zębów bez bólu.
Honoraryum według umowy.



Papierosy
z fabryki
SULIMA
są
najlepsze.
Produkcya roczna przeszło 300 milionów

Jedyna jeneralna agentura

i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze. 301

Dr. Maryan Kryzan

inżynier i rzecznik patentowy.

(Patenty, znaki ochronne itd.) 375

Poznań, ul. Rycerska 33. Telefon 2650

Polecamy następujące książki:

(Towarzystwom, które chcą zakupić całą kolekcyę do swej biblioteki dajemy 15% rabatu.)

	Cena franco.
Tadeusz Rejtan. Wspomnienie historyczne z ilustracyami. Napisała Jadwiga Strokowa	Mk. 0,40
Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą. Przyczynki do historyi południowego Pomorza. Nap. Konstanty Kościński	„ 0.40
Jaka siejba — takie żniwo. Obrazek ludowy współczesny w 6 odsłonach ze śpiewami. Nap. Szczęsny Ostoja	„ 0,40
Głowa za głowę. Nowelka z za kordonu	„ 0,15
„Pamięci Adama Mickiewicza.“ Nap. ks Leon Formanowicz	„ 0.15
Na skrzydłach Ikara. Powieść narodowa na tle powstania roku 1863. Napisała Stefania Tucholkowa	„ 1,50

Telefon 97.

Księgarnia Nakładowa „Pracy“

Sp. z o. p.

POZNAŃ

Rycerska 38.

Nr. 6. Poznań, dnia 6 lutego 1910 r. Rok XIV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Na rzecz Finlandyi.

W Finlandyi, która za czasów rewolucyi rosyjskiej zdołała wywalczyć sobie pewną sumę swobód, zagrabionych jej poprzednio przez rusyfikatorski system rządowy, obecnie pod wpływem wszechwładnej reakcyi dokonuje się powrót do osławionego przedrewolucyjnego systemu. Podobnie jak poprzednio w Królestwie Polskiem obecnie w Finlandyi wykonuje rząd rosyjski zamach na przyznane temu krajowi swobody i chce dzielny naród fiński ugiąć pod jarzmo wszechwładnego bezprawia czynowniczego.

Potworne zamysły rusyfikacyjne głośnem echem odbiły się w całej cywilizowanej Europie. Zewsząd rozbrzmiewają w prasie głosy wielkiego oburzenia z tego powodu. Jednakże najgoręcej zajął się losem Finlandyi naród poetów i myślicieli — Niemcy. Szereg wybitnych profesorów niemieckich uniwersytetów ogłosił bowiem w gazetach niemieckich odezwę w interesie Finlandyi, odezwę, po której wszakże tak znaczna część gazet niemieckich jak sporo dygnitarzy rządowych i polityków niemieckich spodziewa się przeciwnych zamierzonym skutków.

Profesorowie niemieccy oświadczają w tej odezwie, że dalecy są od myśli mieszania się do polityki wewnętrznej Rosyi; ale nieporozumienia pomiędzy rządem rosyjskim a narodem finlandzkim naruszają ogólne interesy Europy i wszystkich państw kulturalnych. Zniesienie, a chociażby nawet tylko zmniejszenie niezależności politycznej Finlandyi znaczyłoby tyle, co naruszenie uroczystych przyrzeczeń, co zniesienie porządku prawnego, uznawanego za nienaruszalny przez kilka pokoleń. Profesorzy podpisani pod tą odezwą ubolewaliby głęboko nad zatratą samodzielnej kultury finlandzkiej i nie wyobrażają sobie, aby społeczeństwo rosyjskie, a szczególnie prawni przedstawiciele narodu rosyjskiego, rozpoczynali naprawę wewnętrznego życia politycznego swej ojczyzny od udziału w jawnem naruszeniu konstytucyi i od politycznego i duchowego zniszczenia narodu fińskiego.

Taka jest mniejwięcej treść tej odezwy profesorskiej, której niepodobna odmówić sympatyi, boć szlachetna ją natchnęła myśl, po której się wszakże nie należy spodziewać jakichkolwiek dodatnich skutków, gdyż rząd rosyjski tak samo wyprosi sobie ingerencyę profesorów niemieckich do spraw, które uważa za wewnętrzne sprawy państwa, jak wypraszał sobie rząd niemiecki podobne demonstracye przedsiębrane przez braci naszych w Galicyi na korzyść naszą.

Naszem zdaniem sprawa gnębionego gdziekolwiek narodu nie jest sprawą wewnętrzną gnębiącego państwa, lecz jest sprawą ludzkości całej, gdyż w gnębionym narodzie ludzkość poniżaną i obrażaną bywa. Mają zatem ludzie gdziebądź mieszkający prawo i obowiązek ujmować się za krzywdą czyjąkolwiek. Mają zatem to prawo także i profesorzy niemieccy, a wykonanie go tylko zaszczyt im przynosi. Jednakże do całego uznania, jakie wobec czułych niemieckich profesorów odczuwamy, miesza się ciężka i gorżka kropla piołunu. Mimowoli pyta się człowiek: dlaczego ci panowie pospieszają z moralną pomocą dalekiej i niedostępnej ich wpływom Finlandyi, skoro w granicach własnego państwa mają naród, który tak samo jak finlandzki ma poręczone gwarancyami kongresu wiedeńskiego tudzież przysięgą i pieczęcią królewską prawa, który według przepisów aż dwóch konstytucyj ma zagwarantowane absolutne z resztą obywateli równouprawnienie, a mimo to żyje pod obuchem najbardziej wyrafinowanego i bezprzykładnego ustawodawstwa wyjątkowego, które go zepchnęło do roli wygnańca na własnej ziemi. Bo jakże inaczej nazwać człowieka, któremu się na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby utrudnia osiadanie na własnej ziemi, którego się trzyma zdala od wszelkich urzędów i godności w obrębie granic swego kraju, któremu się zakazuje posługiwać się na zebraniach publicznych ojczystą mową, nad którego karkiem się zawiesza ustawę wywłaszczycielską, mogącą go każdej chwili pozbawić odziedziczonej po ojcach chudoby?! Jakże inaczej nazwać człowieka, którego język ojczysty wygnano z wszystkich biur i urzędów państwowych, któremu nietylko sprawiedliwość, lecz nawet nauka, nawet nauka religii św. w obcym bywa udzielana języku, którego obcy język państwowy ściga na wszystkich drogach żywota, a nawet do przybytków Bożych własną krwawicą i pradziadów ofiarnością wzniesionych się wciska?!

Jak wdzięczne pole krytyki i sposobność wydania piorunującej odezwy mieli ci profesorzy, gdyby na prawdę potrafili odczuć cudzą boleść i krzywdę

i cudze prawo. I mieliby jeszcze tę pociechę, że głos w tej bolesnej sprawie przez tak poważnych mężów podniesiony, nie przebrzmiałby bezskutecznie, lecz wstrząsnąłby silnie zatwardziałe sumienia i byłby jak ów taran, który w mur twardy uderza, a chociaż za jednym zamachem nie rozbije ściany, to przecież do nadwątlenia jej się przyczynia. Ale Niemcy zawsze mają dwie miary. Swym pobratymcom poza granicami państwa radziby nieba przychylić. We własnym kraju zaś nie zwykli szafować nawet równouprawnieniem, jeżeli chodzi o „obcych“. —

W sprawie kandydatury poznańskiej

Jak wiadomo wysunął obecnie „Dziennik Pozn.“ kandydaturę p. mecenasa Trąmpczyńskiego jako następcę ustępującego posła poznańskiego p. mec. Chrzanowskiego.

Nie taimy, że nam osoba p. Tr. ze wszech miar nader jest sympatyczna. Także wybitne kwalifikacye p. Trąmpczyńskiego są powszechnie zbyt znane i uznane, aby zachodziła potrzeba osobną mu robić reklamę.

Wszakże mimo najprzychylniejszych uczuć, jakie wobec p. T. żywimy, musimy nadal wytrwać na raz zajętem stanowisku tj. musimy się domagać posła ze sfer robotniczych.

Powiedzieliśmy wprawdzie dawniej przy pewnej sposobności, że oświadczając się za kandydaturą robotniczą raczej przemysłowy obwód górnośląski jako centrum wybitnie robotnicze mieliśmy na myśli, nie zaś sam Poznań, który jako siedlisko najliczniej tu się gromadzącej inteligencyi i stanu średniego, a także jako stolica kraju najlepiej byłby reprezentowany przez osobistość mającą wszelkie dane odegrania wybitnej roli w izbie ustawodawczej. — Lecz ponieważ z drugiej strony uznaliśmy za palącą potrzebę wprowadzenia do izb parlamentarnych chociażby jednego tylko posła-robotnika i to w jaknajkrótszym czasie, przeto domagaliśmy się za każdym razem, gdy ku temu była sposobność, posła robotnika. Chcąc być konsekwentnym, musieliśmy to samo żądanie wysunąć, gdy sprawa obsadzenia mandatu poznańskiego stała się aktualną.

Oświadczając się więc za kandydaturą robotniczą z Poznania, pragniemy równocześnie zaznaczyć, że zdobycie dla Koła Polskiego tak poważnej siły, jaką niewątpliwie jest p. mec. Trąmpczyński, uważamy za cel wszelkiego trudu godny i oddajemy się nadziei, że kandydatura ta stanie się aktualną przy przyszłych wyborach do sejmu pruskiego, gdzie p. Trąmpczyński najodpowiedniejsze dla swego talentu i wybitnej dzielności znajdzie pole pracy.

Skandal w parlamencie

Według zdania szambelana i rotmistrza pozasłużbowego pana Oldenburga z Januszewa, wypowiedzianego w parlamencie przy obradach nad etatem ministerstwa wojny, powinien król pruski, a cesarz niemiecki każdej chwili módz powiedzieć do pierwszego lepszego lejtnanta: weź pan dziesięciu ludzi i zamknij pan parlament!

Że w zapatrywaniu tem nie widział nic nadzwyczajnego pełniący wówczas właśnie funkcyę przewodniczącego wicemarszałek ks. Hohenlohe, wynika z tego, iż zacietrzewionego mówcy nie powołał do porządku. Dopiero nieopisany hałas, który po tych słowach powstał w izbie, pouczył tego dygnitarza, że snać za daleko zapuścił się w swej wstecznej wymowie „miles gloriosus“ króla Jegomości. Starał się tedy przedstawić gorszące słowa Oldenburga w ten sposób, jakoby poseł konserwatywny miał zamiar zilustrować tylko na przykładzie subordynacyę wojskową. Na most ten złoty wstąpił skwapliwie niefortunny mówca, usiłując salwować się z niewygodnego położenia, w jakie się dzięki swej zbyt rozbrajającej otwartości dostał.

Fakt, o którym mowa, wysoce jest znamienny. I to nie tylko dla partyi, której mówca inkryminowane słowa wyrzekł, lecz także dla parlamentu, w którym wyrzeczone zostały. Świadczą one bowiem o tak dalece posuniętem lekceważeniu konstytucyi i izby ustawodawczej, że mimowoli człowiek się zastanawia nad głębszemi powodami tego objawu. Że jednem z nich jest bezgraniczna ufająca wyłącznie sile buta junkierska, której parlament oparty na demokratycznym systemie wyborczym zawsze jest solą w oku, nie ulega wątpliwości. Lecz ani się pomyśleć nie da, żeby to mógł być jedyny i najważniejszy powód tego zajścia. Sądzimy raczej, że główną winę ponosi sam parlament.

Gdyby bowiem parlament niemiecki stał niewzruszenie na gruncie zasad konstytucyi i nie robił ustępstw na rzecz zachcianek rządowych, jak to miało miejsce przy uchwaleniu ostmarkenculagi dla urzędników rzeszy; gdyby nie był się wdawał w poniżające jego godność targi przy przeprowadzeniu ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach, przy której to sposobności stworzono paragraf językowy, będący w rażącem przeciwieństwie nie tylko do ducha, lecz także do litery konstytucyi, która proklamuje równouprawnienie wszystkich obywateli rzeszy; gdyby w sprawie katowickiej był zajął jednomyślnie takie stanowisko, jakie jedynie zająć był powinien tj. bezwzględnie rządowemu przeciwne; gdyby nareszcie dążył konsekwentnie, jeżeli już nie do rozszerzenia swych kompetencyj np. w dziedzinie polityki zagranicznej, to przynajmniej do należytego uwydatnienia i korzystania z tych środków i rękojmij, które obecnie już mu przysługują — natenczas mniemać należałoby, że taki p. v. Oldenburg dwa razy byłby się namyślił, czy się odważyć na tak butne i bezprzykładne zelżenie izby, którą przecież olbrzymia większość narodu niemieckiego za reprezentacyę swoją uważa. Poznałby bowiem, że ten parlament szanując konstytucyę, szanuje siebie i z tem samem oburzeniem odepchnie wszelkie ataki, które na jego swobodę nastają, jak odepchnął te, które zasady konstytucyi skrzywić, wypaczyć i złamać usiłowały.

Niestety w tej mierze parlament nie ma zupełnie czystego sumienia, a to krzepi odwagę jego przeciwników. Słabość parlamentu, jego ustępliwość w sprawach podstawowego znaczenia, etyka kramarska jego większości tak fatalnie uwydatniona przy uchwałach dotyczących paragrafu językowego oraz przy konszachtach uprawianych za ery polityki blokowej — wszystko to nie przyczyniało się do podniesienia powagi izby. Cóż więc tak dalece dziwnego, że znalazł się człowiek, który mniemał, iż o parlamencie mówiąc, nie potrzeba słów zbyt dokładnie odważać!

Mimo wszystko omylił się p. Oldenburg. Policzek, który parlamentowi wymierzył, boleśnie dotknął naród niemiecki, a także członkowie parlamentu, za jedynym wyjątkiem konserwatystów, niedwuznacznie stanęli w obronie honoru izby. Że skandaliczne to zajście nie przyczyni się do zbliżenia liberalizmu do zacofańców junkierskich, mniemać należy. Dlatego my Polacy nad niem szat rozdzierać nie potrzebujemy. Zresztą mamy nadzieję, że słowa p. Oldenburga usprawiedliwiające jakoby zamach stanu i rewolucyę z góry pozostaną tylko tem, czem są, niefortunnym, lecz znamien-

nym w każdym razie zwrotem oratorskim.

Na widowni.

Wybory w Anglii nie doprowadziły do zwycięstwa stanowczego partyi konserwatywnej.

Nastąpiło to, czego się wcale nie spodziewano: liberałowie połączeni z partyą robotniczą mają większość nieznaczną wprawdzie, wszakże dołączywszy do nich Irlandczyków, większość ta wynosić będzie 122 głosy.

Obecnie zastanawia się prasa angielska, czyby nie szło uniknąć tego, aby Irlandczycy byli owym języczkiem u wagi. Anglicy mają wobec Irlandyi nieczyste sumienie. Przed wiekami kraj ten zawojowali i nawet ziemię odebrali szlachcie irlandzkiej i podarowali ją lordom angielskim.

Kiedy przed niewielu dziesiątkami lat na czele rządu angielskiego stał Gladstone, chciał ów szlachetny mąż stanu wynagrodzić częściowo krzywdy wyrządzone Irlandyi i przedłożył parlamentowi angielskiemu projekt t. zw. homerule (samorząd krajowy dla Irlandyi).

Wówczas to liberalne stronnictwo stało u szczytu swego rozwoju; liberałowie mieli zupełną przewagę i mogli byli przeprowadzić tę uchwałę sprawiedliwą. Niestety nie stało się tak, gdyż znaczna część posłów liberalnych wolała raczej wystąpić ze stronnictwa aniżeli głosować za obdarzeniem Irlandyi sprawiedliwością.

Wtedy to powstała unia pomiędzy częścią liberałów a konserwatystami i odtąd utworzono stronnictwo unionistów, o którem było podczas wyborów ostatnich tak dużo słychać.

W ostatnich dniach tygodnia wyszedł ze strony unionistów projekt, aby liberałowie zgodzili się na rząd kompromisowy; do nowego gabinetu mają wstąpić ludzie umiarkowanych poglądów z obu stronnictw. Wątpić wszakże należy, czy projekt ten zostanie przyjęty, chociaż innej drogi wyjścia niema, jeżeli rząd nie chce zależeć zupełnie od Irlandczyków.

Oczywiście, że najbardziej interesującą sprawą byłby stosunek nowego rządu angielskiego do Niemiec.

Z wyborów wynika, że konserwatystom najwięcej pomogła ich nienawiść ku Niemcom. Konserwatyści dla tego zdobyli przeszło 100 nowych mandatów, że powiadają oni ludowi angielskiemu wyraźnie, iż pomiędzy Niemcami a Anglią musi przyjść do wojny a im rychlej się to stanie, tem lepiej.

Jeżeli zwycięstwa stanowczego nie odnieśli nad liberałami, to tylko dla tego, że izba lordów nie w porę odrzuciła budżet i spowodowała rozwiązanie parlamentu, z czego liberałowie skorzystali, aby ogłosić hasło, że walczą przeciw lordom za wolnością ludu. Wszakże i to popularne hasło nie zdołało odwrócić uwagi Anglików od niebezpieczeństwa, grożące go im ze strony Niemiec i przysporzyć unionistom wiele mandatów.

W Niemczech przyjęto wynik wyborów angielskich z pewnem zadowoleniem, gdyż zupełne zwycięstwo konserwatystów byłoby oznaczało istotnie możliwość wojny, a przynajmniej wojny cłowej, która byłaby sprowadziła ruinę wielu fabryk niemieckich.

Z Rosyi nadeszły znowu wiadomości dowodzące, że rząd rosyjski nie ufa położeniu na Dalekim Wschodzie. Donoszono o dyslokacyi wojsk rosyjskich i pomnożeniu załog na granicy mandżurskiej. Pisma rosyjskie, które są organami t. z. stronnictwa wszechrosyjskiego przedstawiając ludowi niebezpieczeństwo wojny, piszą, że Rosya powinna zawrzeć z Niemcami przymierze, aby być bezpieczną na swej granicy zachodniej. Inne dzienniki rosyjskie żądają przymierza z Anglią i wskazują na to, że tylko Anglia może Rosyi dać pewność, że Japonia na nią nie uderzy. Rząd rosyjski podobno chwieje się pomiędzy polityką przychylną Niemcom a Anglii.

W Austryi nie zanosi się znowu na zawieszenie broni pomiędzy Niemcami a Czechami; w Węgrzech grozi korona Madziarom reformą wyborczą, z której Słowianie węgierscy mieliby pewne korzyści. Mówiono o nieporozumieniach wynikłych pomiędzy hr. Aerenthalem, ministrem austryackim a ambasadorem niemieckim w Wiedniu Tschirschkym, wszakże pogłoskom tym zaprzeczono.

Z półwyspu bałkańskiego nadchodzą w dalszym ciągu wiadomości o przygotowaniach do powstania w Macedonii. W ostatnich dniach nadeszły alarmujące wieści o nagłych zbrojeniach Turcyi a nawet o całkowitej mobilizacyi armii tureckiej, mającej w końcu marca stanąć w liczbie 800,000 żołnierza na granicy tesalskiej.

Gdyby wiadomości te sprawdziły się, wówczas stanęłoby znowu w całej grozie widmo niebezpiecznej wojny, której bezczynnie nie będą przypatrywały się ani Włochy, ani Austrya lub Rosya. Wojna Grecyi z Turcyą miałaby w następstwie wojnę innych państw słowiańskich na Bałkanach przeciw Turcyi, mającej po swej stronie Włochy. Pogłoska o bliskim zjeździe królów bułgarskiego i serbskiego w Cetynii w stolicy Czarnogórze przemawia za tem, że Słowianie bałkańscy porozumieli się między sobą i że do formalnego przymierza między nimi droga niedaleka.

* * *

W ubiegłą sobotę, d. 29 zm. zakończył się w Krakowie proces Janiny Borowskiej wyrokiem uwalniającym. Sędziowie przysięgli na pytanie czy oskarżona popełniła morderstwo jednogłośnie zaprzeczyli, na 2-gie pytanie, czy strzeliła do Lewickiego w innym nieprzyjaznym zamiarze, pod wpływem chwilowego usposobienia, sześciu głosami odpowiedzieli tak a sześciu nie. Wobec tego trybunał wydał wyrok uwalniający. Borowska powitała wyrok uśmiechem. Prokurator wniósł zażalenie, Borowska zatem pozostaje jeszcze we więzieniu.

Z powodu koncertu Szopenowskiego.

„Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą — podnoszenie ludowego do ludzkości — nie przez stosowanie zewnętrzne i koncesye formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości — oto jest, co wysłuchać się daje z muzy Fryderyka jako zaśpiew na sztukę narodową...“

Tak określił przed laty w swym „Promethidionie“ twórczość Szopena Cypryan Norwid, charakteryzując najtreściwiej a najtrafniej to, co było jądrem jego muzyki: „podnoszenie ludowego do ludzkości“. To kojarzenie nadzwyczaj świetne pierwiastków muzyki ludowej — jej rytmu i melodyi z kulturą muzyczną, którą rozwinęła przez wieki trwająca praca intelektu ludzkiego, ta równa ludowej szczerość i bezpośredniość natchnienia, połączona z wyrafinowaniem i wykwitem formy, są — według słów Henryka Opieńskiego*) — cechami geniusza Szopena.

Szopen nie bawił się w skrzętne spisywanie zawodzonych w polu piosenek lub grzmiących w karczmie obertasów i mazurów, aby „interesujące ludowe tematy“ pomieścić w swych kompozycyach, — on się wsłuchiwał w nie tylko całą duszą, wchłaniając w siebie ich rytmikę, melodyę i archaiczny koloryt ich harmonii, tak, jak się wsłuchiwał od

*) W książce: Chopin. Tom X. Wydawnictwa Nauka i Sztuka.

dziecka w szmery mazowieckiej sośniny, w szumy falującego zboża, jak się wpatrywał w rozległe równiny, linią ciemnych lasów zamknięte na horyzoncie, w szaro-zielone ugory, szare przydrożne wierzby, złote ścierniska, przetykane w jesieni srebrną nicią babiego lata...

I tak jak pierwszym improwizatorom ludowym, rodziły się w jego duszy melodye niby takie same jak te prawdziwe ludowe, a jednak odmienne, równe charakterem i szczerością, oraz źródłem natchnienia, a odmienne kulturą i nową formą, w której się pojawiła poezya duszy twórcy. A ponieważ Szopen według słów Opieńskiego potrafił nadto utrzymać równowagę, winną zachodzić pomiędzy materyalnemi środkami twórczości, a uczuciem, z jakiego płynie natchnienie, i objawił tę równowagę w dziełach swoich w najwyższym stopniu, wprowadzając przytem w czyn od jednego zamachu to, na co jego poprzedników mimo najlepszej woli i zrozumienia stać nie było: samoistną kulturę muzyki polskiej, przeto nie tylko, że jemu samemu miano geniusza muzycznego nadać należy, lecz trzeba nadto uznać, że sztuka jego stała się i jest nie tylko ideałem muzyki narodowej, lecz ma dla nas jeszcze większe znaczenie, gdyż wykazała żywą moc narodu, nam o nas samych i innym o nas mówiąc najsilniejszym i najbezpośredniejszym, bo na uczucie działającym językiem tonów, i stała się dla innych nauką i wzorem, a dla nas narodowym skarbem.

Porównując z Szopenem współczesnych mu mistrzów tej miary, co Berlioza, Mendelsohna, Schumana, Liszta i Wagnera, pierwszeństwo jako muzykowi oddaje Opieński Szopenowi.

W równym — powiada — wprawdzie stopniu myślą i mową duszy była muzyka dla Mendelsohna i Liszta; od pierwszego, wytwornego formą, a ckliwego i płytkiego treścią, był jednak Szopen bez porównania głębszym, — od wielkiego i czystego artysty, a niestrudzonego bojownika nowych idej i haseł Liszta, był o wiele indywidualniejszym jako twórca. U Berlioza, Schuhmanna i Wagnera władze twórczości artystycznej nie koncentrowały się wyłącznie w muzyce, to też żaden z nich, mimo dzieł genialnych i epokowych, nie stworzył tyle nowego w samym świecie tonów, żaden na swoje czasy nie rozporządzał taką fantazyą i bogactwem harmonii jak Szopen. Pod tym względem może on być śmiało postawiony obok Bacha.

Ślady zaś częste a wybitne wpływu Szopena spotkać można nawet w tak pozornie oddalonej swym charakterem muzyce Wagnera, nie mówiąc już o Liszcie, a zwłaszcza o całej plejadzie kompozytorów fortepianowych, począwszy od Grièga, a skończywszy na Skriabinie.

Dla tego Szopen, jako muzyk, jest własnością całego świata, dlatego jego stanowisko, poza skarbami poezyi i uczucia utworów jego jest w dziejach sztuki tak wybitne i wyjątkowe...

Tegoż to niezrównanego i nieśmiertelnego mistrza tonów kilkanaście dzieł, zaczerpniętych z wszech rodzajów jego przebogatej twórczości, zaprodukował w poniedziałek w Poznaniu na wielkiej sali Lamberta słynny fortepianista p. Józef Śliwiński z właściwą sobie maestryą i z pietyzmem należnym kompozytorowi.

Sala po brzegi przepełniona była publicznością, a frenetyczne oklaski nagradzały każdą produkcyę artysty, zniewalając go do dodania dwóch nadprogramowych naddatków.

Koncert Szopenowski był godnym hołdem dla kompozytora i przyniósł zaszczyt talentowi odtwórcy.

Z TEATRU.

Trójgłowa firma autorska panów Caillavet, de Flers i E. Arène nowy artykuł pchnęła na rynek wyrobów scenicznych. Jest nim czteroaktową komedya p. t. „Król“.

Lubo w sztuce tej jak we wszystkich tego rodzaju rzeczach francuskich pikanterya obfite znalazła uwzględnienie, to jednak istotnym jej żywiołem jest satyra. Satyra na królów i monarchistów, na republikanów i demokratów, na ministrów i socyalistów, na arystokracyę i kapitalistyczną burżuazyę. Słowem nie ma takiej rzeczy na świecie i we Francyi, na temat której dowcipni i pełni humoru i temperamentu autorowie byliby omieszkali przewracać najrozmaitsze więcej lub mniej zabawne koziołki. A ponieważ faktura tej rzeczy jest zręczna, dowcip lekki i błyskotliwy, dyalog potoczysty i interesujący, charakterystyka poszczególnych w sztuce występujących osób żywa i trafna, a sam temat tentujący, przeto mimo operetkowego miejscami zabarwienia tej komedyi, rzecz cała przedstawia się bardzo udatnie i ma powodzenie u publiczności zapewnione. Nie będąc dziełem sztuki, jest „Król“ w każdym razie dodatnim nabytkiem repertuaru scenicznego, a to w czasach znacznej na tem polu posuchy także rzecz nie do pogardzenia.

Na naszej scenie rzecz prezentowała się ładnie dzięki dobrej grze artystów. Prym trzymał p. Lelewicz w roli króla Serdanii, figury operetkowej, którą artysta zdołał utrzymać w tonie komedyowym. Znakomicie wywiązała się z niełatwego zadania p. Turowiczówna jako Teresa. Rolę tę zaliczamy do najlepszych kreacyj sympatycznej i wytwornej artystki. Pan Bogusiński w licznych swych metamorfozach zupełne miał powodzenie i grał wprost koncertowo. Rola Bourdiera spoczywała w doświadczonych rękach p. Kosińskiego. Żoną jego była pani Sznagowa, córką z pierwszego małżeństwa panna Zielińska. Wytwornym margrabią Chamerande był p. Andruszewski. Pan Milski kreował z powodzeniem młodego Chamerande, który według słów pani Bourdier czynił wrażenie człowieka, mającego wodę w głowie. Reszta wykonawców, a było ich z dwa tuziny, wywiązała się z zadania należycie. Małą i niemą zupełnie rolę miał p. Czaki, lecz samo pojawienie się jego wywołało zamierzone przez artystę wrażenie. Niezrównany był, gdy zbliżył się zamaszystym krokiem do króla, by protekcyonalnie uścisnąć dłoń monarszą. Następnie, jak na prawowitego socyalistę przystało, pożegnał się kordyalnem uściśnieniem ręki z lokajem. Mały ten epizod znakomicie wykonany wywołał salwy wesołości w widowni.

Sztuka wyreżyserowana była starannie. Publiczność, jak zazwyczaj na premierze, dopisała.

R.

Klasztor OO. Reformatów w Poznaniu.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

(Ciąg dalszy.)

W tymże roku umarł inny dobrodziej klasztoru *Antoni Roer*, mieszczanin poznański, substytut syndyka konwentu. Na domie jego fundowali niegdyś *Sztorkowscy*, mieszczanie poznańscy, obiady raz w tygodniu dla OO. Reformatów. Dawał im więc i Roer obiady. Po jego śmierci jednak prosił z nakazu przełożonych gwardyan Sułkowski wdowę po Roerze o zamienienie tej fundacyi na inną albo na jałmużnę dla klasztoru, aby zakonnicy pod pozorem chodzenia na obiady nie kręcili się

po mieście i nie wracali późno w nieodpowiednim stanie do klasztoru.

W tymże roku (1769) zdarzył się następujący wypadek:

Był niegdyś bardzo bogaty żyd na Litwie, któremu książę Radziwiłł powierzył administracyą starostwa słuchowskiego, ale, popadłszy w niełaskę i zagrożony karą śmierci, uciekł do Amsterdamu. Tam syn jego tak się wsławił uczonością, że obrano go generalnym wizytatorem bożnic żydowskich w Wielkopolsce. Przybył więc dotąd, wizytował synagogi i często kazał, aż naraz nabył przekonania, że obiecany Mesyasz już na świat przyszedł. Z tem przekonaniem jadąc z Poznania do Wrześni, wstąpił do proboszcza i dziek. kostrzyńskiego i objawił mu chęć przyjęcia chrztu ś. Zaraz tedy dziekan odwiózł go do klasztoru OO. Reformatów, gdzie go powierzono opiece Feliksa Strzybrskiego, lektora ś. teologii, kaznodziei i prefekta studyów, który go przez pięć miesięcy nauczał. Gdy już był dostatecznie przygotowany, prosił gwardyan Sulkowski wielu znacznych ludzi, także marszałka konfederacyi województw wielkopolskich, na ojców chrzestnych, lecz wszyscy odmawiali, aż wreszcie Tadeusz Zakrzewski, sędzia poznański, zgodził się trzymać z córką żyda do chrztu. Ochrzcił go Jan Umiński, kanonik poznański, w obecności licznego duchowieństwa w kościele katedralnym 11 listopada 1769 r. i dał mu imiona Jan i Marcin, a nazwisko Pruski. Na prośbę gwardyana Sulkowskiego wzięła kapituła neofitę w opiekę i przeznaczyła mu z sumy fundacyjnej 150 złp. Ale Grochowski, notaryusz apostolski, który od sumy fundacyjnej wybierał prowizye, dał mu do rąk tylko 50 złp., a resztę przyrzekł wypłacać mieszczaninowi chwaliszewskiemu, u którego Pruski zamieszkał.

Za Sulkowskiego zostali tercyarzami Wirydyanna Rościszewska, Walenty Breza i żona jego Rozalia z Skrzebowskich, Ksawery Malczewski z Babina, Dorpowski, kanonik warszawski, i inni.

Następny gwardyan *Waleryan Kaute* (1771—1773), lektor ś. teologii, również był dbały o ścisłe zachowywanie reguły klasztornej, jak o ozdobę kościoła, na którą trzy części dosyć znacznej rocznej jałmużny przeznaczał. Nadto zapłacił dług poprzedników swoich 300 złp. kongregacyi OO. Filipinów na Śródce za wapno, z której to sumy skwitował go 15 lutego 1772 r. proboszcz filipiński Mikołaj Bagnowski wraz z ks. Janem Zesławskim.

Przysposobiona przez Reformata Januarego Kowalkowskiego, kaznodzieję kolegiaty ś. Mikołaja, przeszła z kalwinizmu na katolicyzm w kościele reformackim 1772 r. wdowa Katarzyna Montowa z Margonina.

Za następcy Kautego *Wincentego Nowowiejskiego*, ex-kaznodziei katedralnego (1773—1776), ofiarowali młynarz *Michał* z Główna i żona jego *Apolonia* kościołowi reformackiemu kielich srebrny, wewnątrz pozłacany, drugi zaś kielich pozłocono kosztem klasztoru.

W tym czasie wiele osób zostało tercyarzami, jak Barbara z Wesołowskich Tuszyńska, Kajetan Gliszczyński, kanonik katedralny poznański, Waleryan Leśniewski, komisarz dóbr kostrzyńskich, Piotr Chełkowski, Ludwik Breza, Franciszek i Franciszka Raszewscy, rodzeństwo, i inni, wyznanie zaś wiary katolickiej złożyli 1774 r. chirurg Henryk Otto z Ratysbony z synem Bogusławem, a 1776 r. Adam Kubicki ze Śląska, Jan Klein z Ratysbony i Katarzyna Schwartzen z Wrocławia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości.

— **Z Tow. Czyt. Lud. w Poznaniu.** Do Szanownych P. P. Delegatów i Prezesów komitetów powiatowych T. C. L.

Według uchwały Głównego Zarządu został ostateczny termin do nadsyłania składek powiatowych przedłużony w roku bieżącym do 15-go lutego.

Pieniędzy wpłynęło dotychczas tak mało, że racyonalne zasilenie bibliotek na rok 1909-10 będzie zupełnie niemożliwe.

Przypominam więc w ostatniej jeszcze chwili, że powiaty otrzymają książek tylko za tę sumę, jaką złożą do naszej centralnej kasy i proszę w interesie czytelnictwa o niezwłoczne zebranie i nadesłanie składek odpowiednich do wymagań i potrzeb powiatu.

Poznań, 27 stycznia 1910.

Dr. Michalski,
bibliot. główny T. C. L.

— **„Westa“.** Dla uprzystępnienia zabezpieczenia życia szerszym kołom wprowadziła „Westa“, Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na Życie w Poznaniu z dniem pierwszym stycznia 1910 ubezpieczenie Kasy pogrzebowej wraz z zabezpieczeniem starości i posagu z udziałem w dywidendzie bez rewizyi lekarskiej, obejmujące taryfę VI, VII i VIII.

W ubezpieczeniu kasy pogrzebowej zabezpieczyć się można aż do sumy 1000 marek w trojaki sposób.

Dla znacznych korzyści i dogodności taryfa ta niewątpliwie znajdzie uznanie i zachęci do zabezpieczenia te liczne koła naszego społeczeństwa, które dotychczas zabezpieczyć życia swego nie mogły lub nie chciały.

— **Wieczornica karnawałowa.** Jak się dowiadujemy, urządza w niedzielę, d. 6 lutego (ostatnią karnawału) znany już Szan. Publ. oraz ruchliwy Klub Muzyczny swój tegoroczny koncert karnawałowy, połączony z przedstawieniem amatorskiem na wielkiej sali Lamberta. Oprócz kilkunastu utworów muzycznych polskich i innych kompozytorów odegraną zostanie bardzo wesoła krotochwila ze śpiewami w 4 aktach p. t. Robert i Bertrand, dwaj złodzieje. Kto zatem pragnie ostatnią niedzielę karnawału mile i przyjemnie przepędzić, niech pospieszy w ten dzień na wieczornicę Klubu Muzycznego. — Biletów nabyć można w składzie cygar p. Żychlińskiego oraz wieczorem od godz. 7 przy kasie na wielkiej sali.

— **Koło muzyczne w Poznaniu** postanowiło się zreorganizować w celu pielęgnowania muzyki. Poprosiliśmy przeto obywatela pana Krausego, aby objął przewodnictwo; zastępcą jego wybrano p. Frankowskiego; obaj ci panowie dołożą wszelkich starań, aby „Koło muzyczne“ stanęło na wysokości zadania. Ponieważ jesteśmy w posiadaniu wielu nut dobrych utworów i zapas ten powiększymy jeszcze najnowszemi kompozycyami, spodziewamy się, że szan. Towarzystwa tak w Poznaniu jak i na prowincyi dążenia nasze poprą. My zaś przyrzekamy wywiązać się godnie z zadania. Polecając się Towarzystwom jak i szan. publiczności w wykonaniu muzyki na wszelkich zabawach, teatrach amatorskich, weselach i t. d. prosimy o zamówienia, które przyjmuje tymczasowo p. Guziński, ulica Posadowskiego 14 a i prezes p. Krause w administracyi „Przemysłowca,“ ul. Podgórna 10a.

Zarząd „Koła muzycznego.“

Stowarzyszenie Drukarzy Polskich w Poznaniu odbyło walne zebranie roczne w sobotę 15 z. m. w sali Domu katolickiego. — Ze sprawozdań wynika, iż miniony rok był jednym z najpomyślniejszych w dziejach Stowarzyszenia. Dochodu było 6944,11 marek, rozchodu 5167,23 marek, nadwyżka za rok ubiegły wynosi 1776,88 marek. — W bibliotece znajduje się obecnie 1010 książek. — Członków liczyło Stowarzyszenie w końcu 1909 roku 159, w ciągu roku zmarło 4, wystąpiło 2, wykluczono 7, na rok 1910 przechodzi zatem 146 członków. — Po złożeniu przez zarząd urzędów, przystąpiono do wyboru nowego zarządu. Wyborom przewodniczył pan Ockert Alfons, protokół prowadził pan Talarowski Leon. Na rok 1910 wybrano ponownie: p. Maligłowskiego Marcina prezesem, pana Olejniczaka Wojciecha sekretarzem, pana Pieniężnego Franciszka, skarbnikiem, p. Wietrzyńskiego Antoniego bibliotekarzem, pana Dźwikowskiego Władysława radnym. Wybrano jeszcze trzech członków komisyi rewizyjnej. — Wszelkie korespondencye dotyczące Stowarzyszenia uprasza się nadsyłać na ręce prezesa pana Maligłowskiego, ulica Strzelecka nr. 28b, zaś wszelkie sprawy kasowe na ręce skarbnika pana Pieniężnego, ulica Grobla nr. 29a.

— **Kurs stenografii polskiej** urządziło Towarzystwo kantorzystek szkoły handlowej Preissa w Poznaniu. Nauka rozpoczęła się w poniedziałek, dnia 31 stycznia wieczorem o godz. 8 w lokalu Towarzystwa przy ul. św. Marcina 64 II. Lekcye odbywają się 3 razy tygodniowo wieczorami. Kurs potrwa do końca marca. Zachęcamy panie należące do naszego Towarzystwa o zgłoszenie się jaknajliczniejsze, ponieważ stenografia polska w każdym kantorze koniecznie jest potrzebna. Honoraryum dla członków naszych wynosi tylko mk. 5.— Nieczłonkowie także udział brać mogą. Nieczłonkowie płacą honoraryum mk. 10 za cały kurs. Nie omieszkajmy więc korzystać z nadarzającej się sposobności nabycia tak bardzo korzystnej nauki, która w życiu praktycznem znaczne nam korzyści przynieść może. Zgłoszenia przyjmuje się w lokalu Towarzystwa ul. św. Marcin 64 II.

Zarząd
Towarzystwa kantorzystek szkoły handlowej Preissa w Poznaniu.

— **Płyty gramofonowe** ze zdjęciami artystów opery teatru polskiego w Poznaniu, nadeszły już do **„Camery“**, specyalnego składu gramofonów i płyt gramofonowych, którego właścicielem jest p. **Z. Śniegocki** i za którego staraniem płyty te wykonano. Zdjęcia są znakomite; polonez z „Halki“ wychodzi na płycie z niebywałą impresyą. „Gdyby rannem słonkiem“ i „O mój maleńki,“ perełki z op. „Halki“ są świetne, toż samo powiedzieć możemy o duetach z „Halki“ i „Verbum nobile“ (pp. Henrichówna i Ludwig); wybornie wypadły również: Arye Miecznika z „Strasznego dworu,“ Arya Janusza z „Halki,“ „Śmiej się pajacu“ z opery „Pajace“ i „Siciliana“ z Cavalerij (Layman).) „Pieśń o złotej rybce“ i „Więc tańcz o biedna Geiszo“ wybornie na płycie wychodzi w interpretacyi p. Krajewskiej. Dyr. Lelewicza „Ja jestem biedny żyd“ i „To filozofia największa“, kuplety, które podziwialiśmy w teatrze, wychodzą na płytach niezrównanie, toż samo powiedzieć możemy o monologach p. Kosińskiego „Ballada Hiszpańska“ i „Icek spóźnił się na pociąg.“

Przyjemnie jest słyszeć dobry gramofon, lecz tem większe robi on na słuchaczu wrażenie, jeżeli oddaje głosy artystów, których słyszało się w teatrze.

Jednocześnie zwracamy Szan. Czytelnikom uwagę na anons p. Z. Śniegockiego, zamieszczony na 1-szej stronie okładki.

— **Złoty medal** za likiery deserowe, wódki, koniaki i bezalkoholowe Manru odebrała znów fabryka B. Kasprowicza w Gnieźnie na wystawie sztuki kulinarnej i spokrewnionych artykułów we Wrocławiu jako najwyższą nagrodę, a publiczność znakomitością jej wyrobów formalnie się entuzyazmowała. Jak kolosalnie rozpowszechniają się fabrykaty tej naszej wszechświatowej firmy, o tem świadczy najwymowniej olbrzymia ilość — przeszło 2 tysiące — w ubiegłym roku znów nowo zdobytych odbiorców w kraju i za granicami, mianowicie: kawiarni, cukierni, handli win, składów delikatesów i innych.

— **Ostrzeszów.** Za staraniem kilku kolegów zostało tutaj w Ostrzeszowie założone „Towarzystwo Młodzieży kupieckiej“ i to dnia 28-go grudnia r. z. Towarzystwo odbyło pierwsze swe zebranie dnia 16-go stycznia z udziałem kilku członków i 16-tu gości. W bardzo serdecznych słowach powitali pp. sędzia Radziszewski, dawniejszy burmistrz miasta naszego p. Krąkowski oraz inni goście nasze Towarzystwo, życząc wszelkiej pomyślności w rozwoju i pracy dla dobra całego kupiectwa polskiego. Także koledzy Graff i Stanisławski z Ostrowa nas swą obecnością zaszczycić raczyli. Obecnie liczy Towarzystwo 12-tu członków.

Do Zarządu wybrano:

Przewodniczącem kol. Marcelego Wielebińskiego.

Sekretarzem kol. Felicyana Jarocińskiego.

Skarbnikiem kol. Kaźmierza Konieckiego.

— **Koźmin.** Dnia 27-go z. m. odbyło się w lokalu druha Pilarczyka Walne zebranie Koła Śpiewackiego, któremu przewodniczył druh Ludwik Paryzek. Obrano do zarządu jednogłośnie na rok bieżący pp. Piotra Stachowskiego prezesem, Witolda Wieczerskiego wiceprezesem, M. Kołaskiego sekretarzem, J. Borowskiego skarbnikiem, J. Jakubowskiego bibliotekarzem, ławnikami Juliana Janiszewskiego i Sinieckiego. — Jak żeśmy się dowiedzieli z odczytanego sprawozdania prosperuje Koło śpiewackie świetnie i z wielkiem powodzeniem. Koło liczy członków 60.

Śpiewak.

— **Opalenica.** Jest tutaj jeden lekarz-Niemiec, **który** sam pracy podołać nie może, więc stara się o to, aby się tu drugi lekarz osiedlił. któremu chce oddać kasy chorych miejscowe, donoszące 800 mrk. rocznie, co na początek wiele znaczy. Za małem staraniem mógłby lekarz także i dominia polskie i ludność opalenicką łatwo sobie zjednać. O odpowiednie pomieszkanie tutaj trudno nie będzie.

— **Wrocław. Sprawozdanie roczne Towarzystwa Polsko-katolickiego w Wrocławiu.** Posiedzeń odbyło się 20; jedno półroczne i 4 zarządu. Na posiedzeniach zajmowano się pouczającemi wykładami. Towarzystwo brało uroczysty udział z chorągwią i świecami na rezurekcyi i na uroczystej procesyi Bożego Ciała. Także brało Towarzystwo udział w dwóch pogrzebach. Dnia 31 maja zeszłego roku wysłało Towarzystwo delegata do związku do Berlina. W ciągu roku urządziło Towarzystwo 2 zabawy.

Dnia 15-go sierpnia obchodziło Towarzystwo wspólnie z miejscowemi towarzystwami setną rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego, a 28-go grudnia urządziło wspólną Gwiazdkę dla dzieci. Członków liczy Towarzystwo 56. Z gazet abonuje Towarzystwo „Pracę,“ „Dziennik Berliński,“ „Gazetę związkową,“ „Postęp,“ „Lecha,“ „Gazetę Grudziądzką,“ „Przemysłowca“ i „Dziennik Bydgoski.“

Do zarządu na rok 1910 są obrani: prez. p. Kurnatowski (Herderstr. 8.), zast. p. Nowak. sekr. p. Grzybowski, zast. p. Pracowity, skarb. p Konieczka, bibliotekarzem p. Bartosiewicz, ławnikami p. Dobieglewski, p. Dutkiewicz, gosp. p. Jakubowski.

Roczny dochód jest 203 marki 25 fen., rozchodu jest 55 marek 60 fen., pozostaje czystego dochodu 147 marek 65 fen., w Banku przemysłowym w Poznaniu znajduje się 113 marek, u skarbnika 34 marki i 65 fen. Dla miejscowego Przytuliska złożyło Towarzystwo 20 marek.

Biblioteka składa się z 224 książek.

Posiedzenia odbywają się co drugą niedzielę w Domu św. Wincentego przy Simingasse.

St. Grzybowski, sekretarz.

Nowe książki.

— Nakładem Drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu wyszło ostatnio kilka dobrych publikacyj, które poniżej wyliczamy i polecamy uwadze naszych szanownych czytelników.

„Dobra służąca“ czyli „Co powinnam wiedzieć o służbie i na służbie?“ Poradnik dla służących. Napisała tę użyteczną, 133 strony druku zawierającą i w płótno ładnie oprawioną książkę pani E. B. Cena 1 mrk.

Broszura pióra ks. St. Sadowskiego pt. **„Jak przemawiać na zebraniach i zgromadzeniach“** zawiera na 28 stronach większego formatu dużo światłych wskazówek, przydatnych dla osób biorących czynny udział w życiu publicznem. Cena 50 fen.

Kwiaty i Kłosy. Jestto zbiór utworów poetyckich najlepszych naszych poetów, t. zw. autologia, zaznajamiająca czytelnika z perłami naszej literatury lirycznej i ułatwiająca deklamatorom wybór odpowiednich poezyj. Dziełko to wydał ks. M. Br. Stron 400. Cena 1.50 mrk.

Głosów na Czasie pojawiły się Nr. 21 i 22. Nr. 21-szy zawiera Ks. K. J. Kantaka rozprawę pt: **Mankietnicy i mankietnictwo.** Stron 100. Cena 70 fen.

Nr. 22-gi zawiera rozprawę Ks. Zygmunta Cieplucha pt. **Własność prywatna.** Stron 84. Cena 60 fen.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Ferdynand Stefański**, proboszcz przy kościele św. Wawrzyńca w Gnieźnie i radzca konsystorski, dnia 25-go z. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. Mieczysław Skrzydlewski**, dziedzic Zbrudzewa pod Śremem, dnia 24-go z. m. w 48-mym roku życia. — **Ś. p. Wiesław Trąmpczyński, dnia** 26-go z. m. w Poznaniu w 29-tym roku życia. — **Ś. p. Maksymilian Kulesza**, dnia 25-go z. m. w Szamotułach w 54-tym roku życia. — **Ś. p. z Stasińskich Bronisława Gepnerowa**, dnia 26-go z. m. w Smogulcu, licząc lat 78. — **Ś. p. Kazimierz Dominiczak**, kupiec, dnia 26-go z. m. w Inowrocławiu w 25-tym roku życia. — **Ś. p. Józef Lewicki**, dnia 25-go z. m. w Strzelnie, w 71-szym roku życia. — **Ś. p. Bronisław Konarzewski**, dnia 26-go z. m. w Pakości, przeżywszy lat 36. — **Ś. p. Klara Kokoszewska**, dnia 25-go z. m. w Bydgoszczy. — **Ś. p. z Kowalskich Tekla Kopankiewicz**, dnia 29-go z. m. w Kórniku, przeżywszy 89 lat. — **Ś. p. Antonina Eggert z domu Janiszewska**, dnia 28-go z. m. w Poznaniu na Jeżycach. — **Ś. p. z Szuberskich Ludwika Nowicka**, dnia 30-go z. m. w Poznaniu w 60-tym roku życia. — **Ś. p. Stanisław Malczewski**, dnia 29-go z. m. w Odrowążu pod Witkowem. — **Ś. p. Rodryg hr. Potocki**, doktor obojga praw, dnia 26-go z. m. w Chrząstkowie, przeżywszy lat 75. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Koniecpolu. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu J. Powałowskiemu w Obornikach.** — List Szan. Pana odesłaliśmy interesentowi do Galicyi.

— **Panu Janowi Pawłowskiemu w Inowrocławiu.** — Patrz powyższą odpowiedź.

— **Panu W. S. na prowincyi.** — Do kosza, bo

„Paszkwil marny,
„Wiersz niezdarny.“

— **„Sokołowi w Grodzisku.** — Notatkę o zeszłoniedzielnej zabawie odebraliśmy dnia 29-go z. m. — już po zupełnem wydrukowaniu i wyekspedyowaniu „Pracy“ na dzień 30-go z. m., więc zamieścić nie mogliśmy.

— **Pani M. St. w Chorkówce (Galicya).** — „Praca“ wychodzi tylko w jednem, znanem Szan. Pani wydaniu.

— **Panu Janowi W. w N.** — Dziękujemy za łaskawą bezinteresowną pamięć; owszem prosimy o artykuły krótkie. Za nadesłanie brakujących zeszytów Bóg zapłać.

— **Pani Bercie B. w R. (Górny Śląsk).** — Musimy się liczyć z znanem przysłowiem: „Rozchodzie żyj z dochodem w zgodzie“ wobec niskiej prenumeraty.

— **Panu Ignacemu R. w Koblencyi.** — Bóg zapłać za nadesłanie brakujących zeszytów. Za bratnie pozdrowienie i życzenie „najlepszego rozwoju“ serdeczne dzięki.

— **Panu Michałowi L. w P.** — Pański wierszyk tak się kończący:

„Pan Stanisław ma rywala,
„Trala lala — trala lala“

jest zbyt osobisty, ironiczny, uszczypliwy i t. d., więc powędrował do kosza!

— **„Artyście.“** — 1) A. Kwiatkowski ulica Rycerska 28, 2) W. Lisiecki, Piekary 3, 3) K. Rotnicki, ulica Nollendorffa 33, 4) B. Samoliński, ulica Teatralna 3a, 5) L. Piotrowski, ulica Zeppelina 50.

Z ojczystych stron.

PUŁAWY.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

IV.

Świątynia Sybilli i pierwszy „sztambuch.“

Epoka porozbiorowa to czas, kiedy w Polsce rodzi się gorąca miłość ojczyzny.

I dawniej biły pod stalowym pancerzem serca dla ojczyzny, a kochało się ojczyznę, pełniąc obowiązki względem niej. Była wojna, szło się na wojnę, był pokój, szło się na sejmik; na sejm. Co prawda rozmaicie te obowiązki pojmowano, czasem wprost fałszywie, sądząc, że gdy się kocha siebie i o swoje rzeczy stara, to się i ojczyznę kocha. Taka niemądra miłość wiele szkód przynosiła ojczyźnie, ale nigdy nie można było zarzucić Polakom braku miłości ojczyzny. Polska była, ludzie ją kochali i pracowali dla jej dobra.

Teraz zmieniły się stosunki: państwo polskie przestało istnieć, ale miłość ojczyzny nie zginęła, jeno stała się jakąś wielką tęsknotą, jakby po drogiej utraconej osobie, bo częściej myślano o niej, płakano po niej, rozczulano się nad tem, że już niema niezawisłego państwa, swojego króla, swojego wojska itd. I uczucie takie gorzało coraz silniej, coraz bardziej rozpierało piersi ludzkie.

I w Puławach uczucie to, podsycane wciąż przez księżnę Generałową, powoli objęło wszystkie głowy. Odtąd wybijało ono piętno na każdym objawie życia dworu puławskiego, na każdem dziele, nad którem tam pracowano, na każdej niemal zabawie. W imieniu ojczyzny przystępowano do każdego czynu i gorliwie starano się, żeby pamięć o tej ojczyźnie utrwalić, a miłości nie dać zagasnąć.

Księżna Wirtemberska tak powiada: „Nie było ojczyzny, każdy szukał jej w rodzinie, starał się tę małą ojczyznę upiększyć, ozdobić, jak można“. Dlatego też i Puławy odbudowano po r. 1794 i utworzono z nich małą, ale wzorową ojczyznę i zaczęto pracę nad budzeniem obumarłych uczuć.

Księżna zbiera pamiątki po kościołach, grobach, trumnach, otwiera szeroko podwoje pałacu dla wszystkich. Wtedy to i książę wzbogaca swoją bibliotekę i otwiera ją, bierze udział w pracy nad podniesieniem oświaty w Polsce, dopomaga do wyjścia z druku słownika polskiego Bogumiła Lindego, wstępuje do Towarzystwa przyjaciół nauk.

Księżna stale przesiaduje w Puławach i zakłada tam przeróżne instytucye. Celem tej pracy było podniesienie ducha patryotycznego i oświaty.

Do takich ważnych urządzeń dla oświaty polskiej, a ważniejszych może jeszcze dla sprawy obudzenia ducha patryotycznego i otoczenia czcią i miłością wszystkiego, co swojskie, co tchnęło echem dawno minionych czasów, co przypominało niepowrotną a świetną przeszłość, należą dwa zakłady puławskie: „Świątynia Sybilli“ i „Domek gotycki.“

Z początkiem XIX w. pojawiło się w Polsce tak zwane kolekcyonerstwo. Był to zwyczaj zbierania rozmaitych rzeczy, głównie dla własnej przyjemności. Jeden zbierał książki, drugi broń, trzeci rękopisy, czwarty porcelanę, inny znów monety; ten namiętnie gromadził laski pięknie rzeźbione, ów nawet.. cybuchy, fajki etc. Niewiele z tego było pożytku, choć zbiory takie pochłaniały nieraz bajeczne sumy pieniężne.

Księstwo, a zwłaszcza księżna, była także dzieckiem wieku, więc i ona posiadała żyłkę do urządzania zbiorów, tylko czyniła to rozsądniej, a przedewszystkiem z tą myślą patryotyczną, aby zebrać jak najwięcej tego, co było pamiątką minionej przeszłości i co warto kochać. Z czasem zbiory tak wzrosły, że okazała się potrzeba zbudowania dla nich budynku.

Księżna nie tylko podaje plan, jak ma ten budynek wyglądać, nie tylko dogląda pracy, ale nawet sama... muruje. „Teraz znowu po kilka godzin muruję — pisze do syna Adama w r. 1800. — Bardzo mnie to bawi, gdy pracuję nad moją świątynią z mularzami...“

I wreszcie wzniesiono w r. 1800 gmach, któremu księżna nadała nazwę „świątyni Sybilli“. Było to pierwsze w Polsce muzeum archeologiczne.

Co jest archeologia i jak jest ważną dla nauki historyi, nie potrzeba chyba tłumaczyć. Zbiory różnych przedmiotów od najdawniejszych czasów, umiejętnie ugrupowane, dają nam obraz rozwoju cywilizacyi narodu, a więc są bardzo pomocne dla nauki historyi.

W Puławach zbytnio nie troszczono się o umiejętność grupowania zbiorów, bo też nie umiano tego, nie pytano też, czy to, co się dało kupić lub dostać, było rzeczywiście stare, wartościowe i prawdziwe, czy też naśladowane, kie-



Oranżerya i most wiszący nad szosą w Puławach.



Przy międlicy, we wsi Parchatka pod Puławami.

rowano się głównie uczuciem. Jeśli rzecz jakaś miała urok pamiątki po dawnych czasach lub po drogich narodowi osobach, to zaraz nabywano i składano do muzeum.

„Świątynią Sybilli" przezwała księżna ten gmach dlatego, ponieważ był zbudowany ściśle podług zachowanej z czasów starożytnych świątyni wieszczki Sybilli w Tyburze, we Włoszech. Zbudowano ten gmach nad łachą wiślaną, na stoku wyniosłego wzgórza, wśród wieńca drzew olbrzymich, które dorastały szczytów świątyni.

U wejścia do świątyni stały dwa sfinksy, czyli posągi lwów z ludzkiemi twarzami. Był to dar cesarza Aleksandra. Jego również darem była szklana kopuła, kończąca sklepienie budynku i przepuszczająca światło do wnętrza.

W świątyni była tylko jedna sala, obszerna, przedzielona na górną i dolną. Do dolnej wiodło wejście boczne, powojami osłonięte. Wązkie okna rzucały tu zaledwie słabę światło. Smutna ta i tajemnicza sala była jakby dużym grobowcem: na środku stał tu obelisk z czarnego marmuru, poświęcony pamięci ks. Józefa Poniatowskiego, dokoła na ścianach rozwieszone tarcze herbowe poległych lub zmarłych wodzów i bohaterów.

Po kilku schodach wewnętrznych szło się do sali górnej, jaśniejszej, do właściwego zbioru pamiątek. U drzwi stały dwa lwy z granitu i widniał napis: „Przeszłość przyszłości." Przez szklaną kopułę lały się strugi światła dziennego i padały na posadzkę z białego marmuru, na ściany marmurem wykładane, bogatemi ozdobami upiększone. Naprzeciw wejścia była framuga, zasłonięta karmazynową, aksamitną oponą, na niej wyszyta „Pogoń" litewska. W tej framudze były najdroższe zabytki: miecze Władysława Jagiełły, Witołda, szable Batorego, Czarnieckiego i Sobieskiego, w szkatułce zegarki, pierścienie i łańcuchy królów polskich. Pamiątki po królach pochodziły z grobowców na Wawelu; za wzięcie ich sprawiła księżna srebrną lampkę do grobu św. Stanisława.

Na ścianach wisiały sztandary, pastorały, laski marszałkowskie, buławy hetmańskie, buzdygany, halabardy, miecze i t. p. Do osobliwości należały kości Bolesława Chrobrego, szkatułka Wierzynka, który gościł u siebie czterech królów, trzewik królowej Jadwigi, popioły Kopernika, głowa hetmana Żółkiewskiego, oraz jego burka, kość z ręki Stefana Czarnieckiego. Możnaby powątpiewać o prawdziwości tych pamiątek, ale uchodziły za prawdziwe, więc otaczano je czcią. O zdobyciu owych kości Bolesława Chrobrego krążyła nawet anegdota.

W roku 1808 księżna Izabella przejeżdżała przez Poznań. Właśnie niedawno spłonął był tamtejszy kościół katedralny i groby królewskie zostały nadwerężone. Miano tedy postawić nowy pomnik dla Bolesława Chrobrego, a tymczasem biskup poznański wyjął jego kości, schował je i opięczętował. Księżna uparła się, że z Poznania nie wyjedzie, póki tych prochów nie zobaczy. Ciekawość i upór kobiecy zwyciężyły: biskup otworzył skrzynkę. Ale kiedy obecny przy tem doktor Khitel zwrócił uwagę, że są tam trzy czaszki zamiast jednej i zaczął snuć przypuszczenia, czyje mogą być one, kiedy księża obecni i biskup zasłuchani patrzyli na doktora, księżna tymczasem z panną Zofią Matuszewiczówną zgrabnie chwyciły po kawałeczku kości i skryły je tak, że nikt tego nie zauważył. W ten sposób kości, rzekomo Bolesława Chrobrego, dostały się do zbiorów puławskich.

Świątynię Sybilli liczni zwiedzali ludzie, a wchodzili tam z bijącem sercem i wzruszeniem.

Stróżem tego muzeum był dworzanin Gniewkowski, dla którego księżna napisała dokładną instrukcyę, jak ma pokazywać i co mówić. Gniewkowski wyuczył się tego na pamięć. Olbrzymi niemal człek, poważny, piękny, siwy, w polskim stroju, z brzękiem otwierał przed gośćmi kratę świątyni i prowadził do górnej sali. Stawał przed szkatułą hebanową, na której widniał brylantowy napis: „Pamiątki polskie. Zebrała Izabella Czartoryska r. 1800" i uroczyście przemawiał: „Stąd zwykłem zaczynać." Potem olbrzymią laską wskazywał poszczególne przedmioty i wygłaszał na pamięć instrukcyę od a do z. Gdy skańczył, podawał księgę do zapisania nazwiska.

Trochę krytyczniej zapatrywał się na te zbiory książę Generał. Doskonale on wiedział, że wiele tam rzeczy musi być nieprawdziwych, śmieszyło go i to, że księżna z istną namiętnością ściąga zewsząd te pamiątki, to skupuje, to wyprasza, to wreszcie... przywłaszcza sobie. To też mawiał, że do napisu na szkatułce hebanowej musi dodać jeden brylant na literą z, a wtedy się zrobi: „żebrała Izabella Czartoryska."

Dzięki księżnej i jej zbiorom powstał też w Puławach bodaj pierwszy tak zwany „sztambuch." Dzisiaj może jeszcze pensyonarki miewają takie „pamiętniki," w których każdy krewny i znajomy musi rad nie rad wpisać coś „na pamiątkę."

W początkach XIX. w. było to w Polsce nadzwyczaj modne, każda niemal kobieta miała taki sztambuch. Otóż księżna postanowiła sporządzić katalog pamiątek i od każdego literata, który tylko zjawił się w Puławach, żądała napisania jakiejś rozprawki, objaśnienia, wierszyka do jednej bodaj z pamiątek. Tak to powstał „Rezonowany (czyli: rozumowany) katalog świątyni Sybilli". Co prawda, więcej tam było wierszy patryotycznych, więcej wyrazów uczuć i hołdu dla ks. Izabelli, niż objaśnień historycznych.

Ale z czasem nazbierało się tyle pamiątek, że trzeba było pomyśleć o nowem dla nich pomieszczeniu. Zaczęto więc w roku 1809 budować tak zwany „domek gotycki," w gotyckim stylu.

Przeważnie same obce zabytki znalazły tu pomieszczenie, za to mury zewnątrz obkładano odłamkami kamieni, cegłami, herbami, napisami z różnych budowli historycznych polskich, z pomników królewskich, z zamków starych, z domów znakomitych ludzi. Dlatego domek ten przedstawiał niezwykły widok.

* * *

Zapyta może kto, jakie były dalsze losy Puław. Przypominamy słowa Kajetana Koźmiana: „Powstały z krajem; kwitnęły wraz z krajem i wraz z krajem znikły." Losy kraju, to losy Puław.

Po roku 1815 nastało w Polsce uspokojenie umysłów i równowaga. Odbija się to i w Puławach, które wracają do zwykłego życia. I znowu odbywają się przyjęcia, zabawy, a każda zabawa to rodzaj patryotycznego obchodu. Czasem grywano „Matkę Spartankę" Kniaźnina, czasem jakąś komedyę ks. Generała lub jakąś sztukę francuską w polskiem tłumaczeniu.

Nie minął dzień bez gości; czasem było ich aż za wiele. Bywało, że księżna po rozjechaniu się gości zakłada się, że już nikt nie przyjedzie i będzie mogła udać się do zwykłych swych zatrudnień, aż tu przychodzą dwaj zakonnicy z góry św. Bernarda, chodzący po kweście, wieczorem zjawia się Amerykanin, rozwożący po świecie protestanckie biblie: chudy, wysoki, łysy, w okularach, zgięty pod księgami, wreszcie traf sprowadza jakichś dwóch włoskich śpiewaków. Oczywiście zatrzymują ich na obiad i nocleg. Wieczorem za to wesoło. Sama księżna śmieje się, pisząc w jednym liście: Włosi śpiewają, Amerykanin prawi kazanie o piekle, zakonnicy obiecują niebo za hojną jałmużnę.

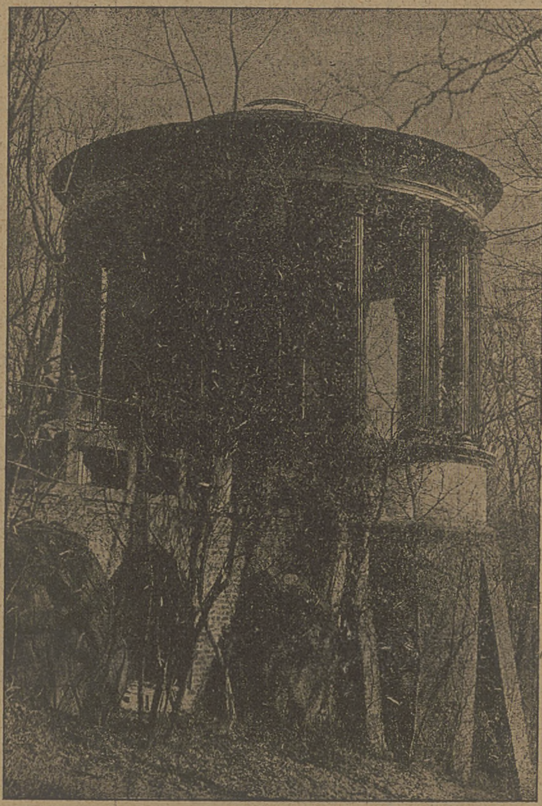
Księżna postarzała się, ale żywości usposobienia nie traci, nie traci nic z uczuć patryotycznych, choć inne panie

polskie w owych czasach były bardzo obojętne dla spraw narodowych. Poważna matrona staje się bardzo prawdomowna i bez ogródki tnie każdemu prawdę w oczy. Ile razy przyjeżdża do Warszawy, urządza składki, kwesty, widowiska na cele patryotyczne i dobroczynne.

coraz dalej, bo starano się wszczepiać myśli i dążności nowe, postępowe.

Po wybuchu powstania listopadowego, księżna Izabella z córką Maryą Wirtemberską schroniły się do Puław. Doczekały się tego, że syn i wnuk ich, młody ks. Adam Wirtemberski, jenerał dywizyi rosyjskiej, kazał strzelać z

Francyi. Ks. Adam, uważany za właściwego przedstawiciela Polski, zasłużył się niemało na emigracyi, pracując gorliwie mimo trudności, mimo braku pieniędzy, mimo niezgody i kłótni wśród emigrantów polskich i ich „niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów...“ — jak



Świątynia Sybilli w Puławach od strony południowej.



Kościół we wsi Włostowice pod Puławami

Książę Adam, którego pominięto przy obsadzaniu posady namiestnika w Królestwie kongresowem, ożenił się w roku 1817 z ks. Anną Sapieżanką i objął w posiadanie Puławy. Zrazu rzadko tu mieszka, natomiast często zjeżdża do Puław księżna Izabella, a jej pobyt ściąga po staremu gości i przywraca dawne życie.

Lecz Puławy przeszły już swój okres świetności. Posłannictwo ich przypadało na czasy największego przygnębienia od r. 1794 do r. 1807.

Wtedy były one dobitnym dowodem, że Polska nie upadła, były pochodnią, rozniecającą miłość ojczyzny i pamięć o niej, były środowiskiem, w którem się skupiało wszystko: życie towarzyskie, literackie, artystyczne, naukowe i polityczne. Tak... i polityczne!.. Bo choć Puławy stały na uboczu, nieraz tu przygotowują się ważne wypadki; wspomnijmy choćby te przyjęcia przed sejmem czteroletnim i wizyty cesarza Aleksandra przed powstaniem Księstwa Warszawskiego lub Królestwa kongresowego.

Puławy były łącznikiem między okresem Stanisławowskim, a porozbiorowym. Żyły w nich wszystkie cechy i tradycye staropolskie, które szanowano tam wprawdzie, ale usuwano

armat do pałacu, w którym mieszkała babka i matka.

Po upodku powstania i po zajęciu Puław księżna z córką wyjeżdża do Sieniawy. Wojsko uszanowało zabudowania pałacowe, częściowo też zdołano wywieźć zbiory i bibliotekę naprzód do Sieniawy, potem do Paryża.

Ks. Marya mieszkała przy matce aż do jej śmierci, to jest do r. 1835, potem osiedliła się w Galicyi, gdzie zajmowała się dziełami dobroczynności i dobrem ludu. Następnie jakiś czas przebywała w Genewie, we Wiedniu, wreszcie osiadła w Paryżu, przy bracie Adamie. Tu też umarła w r. 1854.

Książę Adam, który w powstaniu r. 1830 i wojnie narodowej 1831 brał czynny i wybitny udział, udał się, jak wiadomo na emigracyę do Paryża, gdzie dalej działał dla dobra narodu.

Księżna Sapieżyna, matka księżnej Adamowej, rządna i zapobiegliwa osoba, nabyła rezydencyę hrabiów Lambertów w Paryżu. Zamieszkał tam ks. Adam ze siostrą i jenerał Władysław Zamojski, syn Zofii, siostry ks. Adama i Maryi.

W pałacu tym, zwanym „hotelem Lambert“, urządzono też „szkołę panien polskich.“

Duch puławski odżył także we

powiada Mickiewicz we wstępie do „Pana Tadeusza.“

Jak wspomnienie Puław, „kraju lat dziecinnych“ było Adamowi Czartoryskiemu pobudką do pracy na emigracyi, tak powinno być ono otuchą po wszystkie czasy.

Puławy uczą, jak powinno się kochać ojczyznę, jak pracować nad podniesieniem oświaty w kraju i jak budzić zamiłowanie do tego, co nazywamy dobrem, prawdą i pięknem.

Gdy zapytamy, czem były Puławy dla Polski porozbiorowej, musimy — używszy słów poety — odpowiedzieć, że były tem

„centrum polszczyzny,
Gdzie się człowiek napije, nadysze Ojczyzny“.

Za hańbę poczytują Lechici, zawiesiwszy nieprzyjaciół porażkę, świętokradzkiemi obładowywać się łupami.

Wincenty Kadłubek.

* * *

Sznur w kilkoro skręcony z trudnością się przerywa.

Tenże.

* * *

Ks. Teofil Gapczyński.

O Juliuszu Słowackim.

(Ciąg dalszy).

Stanął w starożytnym Rzymie. Ale ten Rzym nie zrobił na niego takiego wrażenia, jak oczekiwał. Ba nawet łzami się zalewał, jak sam pisze:

„I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mię spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg: czy Rzym widziałem?"

A to z pewnością dla tego, że go wciąż prześladowało wspomnienie Maryi Wodzińskiej, że o niej zapomnieć nie mógł, że go wciąż ścigały jej czarne oczy aż pod progi Watykanu — i nie wiedział,

„ gdzie iść, oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym."

Ale niebawem innemi na ten sam Rzym spoglądać miał oczyma. Znalazł się w Rzymie człowiek, który mu gród ten blaskiem swojego geniuszu oświecił, a oświecił tak, że to samo, co z początku prozaicznem i małem się zdało, później wydało mu się wspaniałem i poetycznem.

Czarodziejem tym był Zygmunt Krasiński, najgłębszy z naszych poetów umysł, autor „Nieboskiej Komedyi".

Pełen młodzieńczego zapału dla rzeczy piękna, umysłowo nad wiek rozwinięty, z iskrą geniuszu nad czołem, wykształcony, oczytany, biegły zarówno w rzeczach poezyi i sztuk pięknych jak filozofii historyi, z niewysłowionym wdziękiem opowiadający o starożytnym Rzymie, o prądach nurtujących w społeczeństwach nowoczesnych, o walkach arystokracyi z demokracyą, walkach, które z taką genialną intuicyą odmalował w swojej „Nieboskiej Komedyi", wylany, szczery i pełen prostoty w obejściu, bez cienia zarozumiałości, a przytem z ogromnem niekłamanem uznaniem dla talentu Słowackiego — nie dziw, jeśli Słowacki przywiązał się doń całem sercem.

„Znali się z sobą niedługo lecz wiele
I od dni kilku już są przyjaciele".

Z Rzymu wyjechał do pięknego Neapolu. I tu, choć napawał się czarownemi widokami nad neapolitańską zatoką i szafirowem niebem włoskiem, i tu go prześladowały na każdym kroku wspomnienia dni Genewskich, spędzonych z Maryą, jedynych szczęśliwych, jakie miał w życiu. Patrząc na zatokę i Neapol, mimowoli widział okiem duszy... jezioro genewskie, tak samo jak zatoka błękitne i modre. Wezuwiusz kazał mu myśleć o śnieżnej kopule Mont-Blanc. Księżyc, wschodzący nad Wezuwiuszem, przypomniał mu owe ciche wieczory szwajcarskie, spędzone w ogródku z Maryą Wodzińską. Gdziekolwiek poszedł, na cokolwiek patrzał, wszędzie i zawsze stawała przed nim ta przeszłość niedaleka, a niepowrotna, przeszłość, która teraz o tyle wydawała mu się piękniejszą, że ją widział przez tęczowy pryzmat wspomnienia, które, jak wiadomo, największym jest artystą i poetą.

Z końcem sierpnia r. 1836 namówili Słowackiego dwaj znajomi jego, Zenon Brzozowski i Aleksander Hołyński, aby udał się z nimi przez Grecyę i Egipt do Ziemi Świętej. Acz smutny, chętnie puszczał się w tę podróż. Bo zawiedziony w swoich nadziejach, odepchnięty niejako i nieuznany od swoich, „nieszczęsny i błędny, trawiony tęsknotą jakąś chorobliwą „obrócił skrzydlate ramiona ku Wschodowi", by uciekać „przed myślą swoją".

„A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą
Więcej przed myślą moją".

Dotąd źle mu było w świecie. Szukał zapomnienia bólów, lepszej przyszłości:

„Chrystusa dyabeł kusił i mnie kusi:
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: tam ci lepiej będzie".

I gdy tak płynął przez morze zdawało mu się początkowo, że zapomni o smutku i bólach, które serce jego szarpały:

„Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichem, jasno-lazurowem".

Ale smutek, ten nieodstępny towarzysz Słowackiego, odezwał się niebawem. Kiedy 20 października, na kilka godzin od Aleksandryi, o zachodzie słońca ujrzał stado bocianów ciągnących z północy (może z Polski? pomyślał sobie poeta) ku południowym strefom, zrobiło mu się w jednej chwili tak smutno, tak beznadziejnie smutno:

„Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze
Smutno mi Boże!

I wszystkie bóle, tajone dotąd w duszy, od razu wylewa w swoim do łez pobudzającym wierszu: „Smutno mi Boże" — we wierszu, który z pewnością na pokładzie napisał okrętu.

Tak mu smutno, że zdala od kraju rodzinnego musi się błąkać, on, który prawie nie zaznał rodzinnego domu:

„Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że niewiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!

O gdyby przynajmniej ten okręt płynął do drogiej ojczyzny, do Polski! ale..

„Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień... a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!"

On, który nie zaznał rozkoszy, niezrozumiany od ludzi, który przed ludźmi o ile mógł, tail swe bóle, udając ciszę błękitu, skarży się Bogu jak dziecina, gdy ją matka opuści:

„Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu...
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu,
Ale przed Tobą głąb serca otworzę
Smutno mi Boże!
Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski...
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Z takiem uczuciem jechał do Ziemi Świętej, na grób Jezusa. Jechał przez Egipt. Z wrażeń doznanych w Egipcie, zwłaszcza w Kairze, wysnuje kiedyś w *Bieniowskim* najwspanialsze opisy Wschodu. Tu zbierał, jak powiada pięknie Klaczko, „farby do swej weneckiej palety", tej palety, która pod względem świetności kolorytu nie ma sobie równej w całej literaturze polskiej. Tej podróży do Egiptu zawdzięczamy piękne wiersze o piramidach i jeden z najpiękniejszych poematów Słowackiego: *Ojciec Zadżumionych.*

Nareszcie zbliżał się Słowacki do Ziemi Świętej... do Jeruzalem... do grobu Chrystusa. Gdy przestąpił próg grobu, rzęsiste łzy mu się rzuciły z oczu i jak pięknie powiada:

„ rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni leżałeś o Chryste!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

III. B.

Jak zbudowane są ziemie polskie pod względem geologicznym?

Jak zewnętrzna powierzchnia ziem polskich, której opisem zajmuje się nauka geografii, dość jednostajny przedstawia obraz, tak też Niż polski pod względem geologicznej budowy swej nie wielkie okazuje urozmaicenie. Jedynie prawie bowiem w nielicznych w Polsce pasmach górskich znajdujemy pokłady archaiczne i paleozoiczne, cały zaś Niż przykryty jest prawie wyłącznie osadami dyluwialnemi, a więc formacyą bardzo młodą, gdyż poprzedzającą bezpośrednio tę, która się obecnie w naszych oczach tworzy. Z starożytnych wybuchowych skał znajdujemy tylko granit w Tatrach, których ostre turnie, tak dziwny na nas wywierające urok, fizykalnym właściwościom skały tej istnienie swe zawdzięczają, jako i na Ukrainie, gdzie również wielkie znajdujemy pokłady granitu, znajdujące się jednak po dziś dzień jeszcze w poziomem uławiceniu. Ostatni ten szczegół, dla geologa niezmiernie ważny, świadczy, że ziemia nasza tutaj na wschodzie od najstarszych czasów geologicznych w zupełnym znajdowała się spokoju, w przeciwstawieniu do Tatr, gdzie złoża granitu późniejszych doznały wzruszeń i spiętrzeń, dzięki licznym trzęsieniom ziemi i różnym kataklizmom im towarzyszącym, a które szczyty tatrzańskie do tak pokaźnych wzniosły wysokości (Garłach 2560, Świnnica po polskiej stronie 2200 metrów). Z nowszych skał wybuchowych znajdują się w Polsce: porfir w górze, na której stoją ruiny zamku Tęczyńskiego, w okolicach Krzeszowic, o 3 mile na zachód od Krakowa, bazalt, z którego złożona jest góra Św. Anny niedaleko Opola na Górnym Śląsku, i trachit, ukazujący się w okolicach Szczawnicy (Karpaty). Gnejs porówno z granitem tworzy część wirchów tatrzańskich i szczyty: Tomanowa Polska, Babie Nogi czyli Wysoka, Ornuk, Twardy Upłaz, Suchy Wierch i Kondratowa są gnejsowe. Ze skał osadowych, których wiek względny, jak wiadomo, geolodzy oznaczają na podstawie skamieniałości (śladów muszli, skorup lub roślin), najstarsza formacya, kambryjska, w Polsce nie jest reprezentowana. Natomiast już następna, sylurska, występuje u nas na całem podolskiem dorzeczu Dniestru, począwszy od Niżniowa w Galicyi aż do Jampola na Podolu rosyjskiem. W tych miejscowościach spoczywa ona na granitach, a pokrywają ją margle, należące do formacyi kredowej, na których znów sadowią się wapienie trzeciorzędowe. Skały Karnieńca Podolskiego i okolicy należą do formacyi sylurskiej, jak również twarde łupki popielate we wsi Kleszczowny pod Sandomierzem. Następna formacya dewońska, jest rozpostarta u nas na znacznych obszarach i zawiera w sobie biały kwarcyt z domieszką miki. Znajduje się też w niej pewna odmiana wapienia, zwana dolomitem, wapień brunatno-szary i różne pokłady łupku iłowego. Pasma gór Świętokrzyskich i wszystkie wzgórza pomiędzy Chęcinami, Kielcami i Sandomierzem należą do formacyi dewońskiej. Wapienie brunatne, uchodzące za marmur i jako taki eksploatowane, są rozwinięte około Chęcin, Kielc i Radlina. Oprócz tego formacya dewońska występuje jeszcze w powiecie Olkuskim. Okres węglowy reprezentowany jest w Polsce bogatemi złożami węgla kamiennego na Śląsku Górnym, w Zagłębiu Dąbrowskiem i W. Ks. Krakowskiem (okolice Jaworzna i Trzebini). Musiały wtenczas u nas panować klimatyczne stosunki zupełnie inne, niż teraz, podobne do gorących i wilgotnych krain Afryki lub Ameryki południowej, w których to okolicach po dziś dzień roślinność bardzo jest bujna i złoża węgla w naszych niemal oczach ustawicznie wytwarza. Również świadczą pokłady węglowe u nas o tem, że morze, które w okresach sylurskim i dewońskim wielkie obszary naszego kraju zalewało, złoża swe pozostawiając, w epoce węglowej ustąpiło, a ląd, który się z wody wyłonił, w licznych bagnach i jeziorach pozostałych stwarzał dobre warunki dla bujnej wegetacyi węglowej. Ponieważ formacyi permskiej nie udało się u nas wyśledzić, trzeba przypuszczać, że wtenczas też jeszcze morze naszych ziem z powrotem nie zalało, lecz wysoka ciepłota przetrwała bezwątpienia aż do formacyi tryasowej, w której nastąpiła nowa transgresya tj. zalanie morza, pozostawiającego u nas bogate złoża wapienia, świadków podzwrotnikowej temperatury w postaci skał zbudowanych przez korale. Pstre piaskowce występują u nas w okolicach Dąbrowy i Będzina, a wapień muszlowy w okolicach Krakowa i Olkusza, gdzie zawierają jeszcze w sobie cenne rudy cynkowe, ołowiane i żelazne. Następnej formacyi jurajskiej zawdzięczamy złoża najpiękniejszych okolic naszego przedgórza, są to pod krajobrazowym względem słynne okolice Częstochowy, Ojcowa, Krakowa i dolina Kościelska w Tatrach, również Pieniny od Czorsztyna aż do Szczawnicy. Dalsza formacya, kredowa, zajmuje u nas dość znaczne przestrzenie od południa i wschodu i jest reprezentowana przez różne osady. Piaskowce i wapienie tej formacyi znajdują się w Karpatach i na całem Podgórzu Karpackiem. Najobszerniej rozpostarła się górna warstwa formacyi kredowej, zwana opoką. Począwszy od Krakowa wzdłuż Wisły występuje naprzemian opoka biała albo siwa, czyli tak zwany przez lud „siwak“. Ten ostatni występuje w różnych miejscowościach gub. Radomskiej i Lubelskiej aż pod Lwów, Kamieniec Podolski, Jampol i Bałtę. Podczas gdy bogate złoża soli inowrocławskiej i ciechocińskiej pochodzą z formacyi przedkredowej, sól w Wieliczce i Bochni oraz nafta galicyjska wytworzyły się w t. zw. formacyi trzeciorzędowej, a więc młodszej niż kreda. To też trzeciorzędnej formacyi przypisujemy czasy wielkiego niepokoju w wnętrzu ziemi, zjawiska zasadniczych dyslokacyj tektonicznych, dzięki którym powstały dopiero głównie n. p. Karpaty, spiętrzając się do postaci gór. Później dzięki znacznemu obniżeniu się temperatury w okresie dyluwialnym lub lodowcowym pokryły się ziemie nasze z północy aż na linią Kraków—Lwów—Kijów rumowiskiem głazów skandynawskich, zakrywających w Niżu polskim, t. j. większej północnej części Polski dawniejsze osady, głębokiemi nieraz pokładami piasków i glin, z którego to powodu u nas na północy rzadko na starsze natrafiamy pokłady (przy wierceniach).

Bolesław Gorczyński.

Bracia Burnyje.

Historya dwóch zabójstw.

Dwóch ich było z jednego ojca i matki, z jednej wioski, z jednego szczepu plemiennego... Różnemi poszli drogami...

. . . .

Matwij było na imię starszemu, Onufry młodszemu. Na przezwisko było im: Burnyje z sioła Biediszcze.

Nomen omen: obaj zaiste byli „burnyje“, t. j. burzliwi. Drugie omen: wioska była nędzna, słusznie się zwała — Biediszcze.

Starszy Matwij za młodu ruszył w świat szukać lepszego losu, młodszy zo-

stał na roli... Matwij garnął się nieco do książki, chciwy był wiedzy i świata — Onufry był ciemny, jak to chłopek rosyjski...

. . . .

Matwijowi powiodło się w życiu. Parę lat pobiedował, niedojadał, niedosypiał, trochę kradł, trochę włóczęgował, aż wreszcie wyszedł na stanowisko. I to nielada jakie!

Oto ni mniej ni więcej, tylko w dwudziestym ósmym roku życia został „gorodowym“ w stołecznem mieście. Zrazu na tem nowem, niezbyt dostatniem, ale bądź jak bądź „poważnem“ stanowisku“, miał się doskonale. Władze go wyróżniały, chwaliły, ufały mu, potrochu i kupcy i sklepikarze i kamienicznicy zaczęli poszukiwać jego przyjaźni... Więc miał i poważanie i grosz na... „wypiwkę“... Nie potrzeba dodawać, że Matwij za kołnierz nie wylewał...

Przywalona dotąd brzemieniem przejść doznanych oraz powagą władzy, żywiołowa natura Burnego zaczęła się pomału ujawniać. Zrazu w rzeczach drobnych: ot, np. nieco hardą odpowiedź „starszemu“, pobicie pijanego na ulicy, nieprawne zaaresztowanie ładnej prostytutki lub tym podobne „drobne“ przekroczenie władzy. Potem zdarzały się rzeczy większe: niestawienie się na służbę z powodu „nietrzeźwego stanu“, najście sklepu bogatego kupca i żądanie haraczu, aresztowanie po pijanemu wyższego urzędnika...

Karcony przez władzę dwukrotnie w stanie trzeźwym przyrzekał solenną poprawę, po pijanemu zaś krzyczał hardo:

— Czort z wami, panowie naczelnicy! Możecie wy — mogę i ja! Wy nie przychodzicie na służbę — mogę i ja nie przyjść! Wy bierzecie haracz — to i ja będę brał! — czort was bierz, panowie naczelnicy!

Oczywiście za taką niesłychaną w dziejach policyjnych otwartość został zesłany za karę na głęboką prowincyę do maleńkiej powiatowej osady.

Miał wówczas lat 35. Degradacya wpłynęła nań dobroczynnie. Ochłódł w „burnym“ zapale — spoważniał — nauczył się wiele rzeczy — i wiele, bardzo wiele zrozumiał.... poznał ustrój światowy...

. . . .

A brat Onufry odrabiał wciąż swą „wolną“ pańszczyznę na wrzekomo „własnym“ kawałku roli...

I był ciemny, zupełnie ciemny... Nic nie rozumiał — nie znał ustroju światowego... Wiedział tylko tyle, że mu jest źle na świecie...

. . . .

Matwij Burnyj przez czas kilkuletniego pobytu w małej nadwołżańskiej mieścinie zaznajomił się dokładnie z procedurą urzędową... dowiedział się, jak to się „ludzie (wedle słów Gorkija) na tym świecie urządzają.“

Skonstatował, że nieźle. Byle tylko umieć zachować „przepisy obowiązujące“... Poza tem można robić dużo. Ale nie trzeba nadużywać. Bo wówczas władza wyższa „jest w kłopocie“ i musi karać „dla przykładu“.

Matwij nie chciał, by władza była w kłopocie. Matwij polubił swoją „władzę“, albowiem skonstatował, że się od niej różni zaledwie rangą... i wysokością „okładnych“... Poza tem i ta jego władza zależną jest od takiej samej swojej władzy, a ta ostatnia jeszcze od swojej itd.

Trzeba tylko zachowywać najważniejsze „przepisy“ i nie łamać starego, zakorzenionego porządku.

Bo gdyby ten stary porządek runął, to wówczas dla wielu ludzi nastałyby ciężkie, bardzo ciężkie czasy...

Matwij z całą duszą oddał się służeniu ukochanemu staremu porządkowi.

A Onufry orał i siał w rodzinnej wiosce, mało co zbierał, niewiele rozumiał, nie znał się na żadnych „porządkach“, czuł jeno, że mu jest źle, bardzo źle...

. . . .

Jakoś na dziesiąty rok pobytu Matwija w nadwołżańskiej mieścinie, zaraz po awansowaniu go na „starszego strażnika“, zaczęły po miastach, miasteczkach i siołach krążyć zrazu niejasne, potem wyraźniejsze i śmielsze słuchy o jakimś „nowym porządku“...

Matwij, lubo nie zrozumiał dokładnie na czem ma ów nowy porządek polegać, jednak instynktem rutynisty i zachowawcy odczuł w tym nowym porządku — wroga...

W tym samym mniej więcej czasie młodszy brat Onufry, który z roku na rok coraz więcej orał i siał, a coraz mniej zbierał — przejrzał nieco na oczy. Zaczął on to i owo rozumieć...

. . . .

Matwija przenieśli z małej mieściny do miasta gubernialnego. Tutaj wytrawny bywalec wnet pojął całe niebezpieczeństwo, jakie grozi jemu i jego władzy od... nowego porządku... Znienawidził go więc całą „burną“ swą duszą i poprzysiągł walkę.

Znów burzliwość natury chłopskiej poniosła go za daleko. Wszczął akcyę tępicielską tak gorliwie, z takiem oddaniem się, że lubo nieprzyjacielowi dotkliwe ciosy zadawał, jednak nie ustrzegł się przekroczenia „instrukcyi“ i... musiał, z żalem przez władzę żegnany... kapitulować... Dostał dymisyę — na własne żądanie...

Ale szabli do pochew nie schował.

Powziął plan walki cichej, ukrytej — z zasadzki.

Pola nie zabrakło, poparcia również...

Przystał do jakiejś cichej, lubo głośno działającej organizacyi i dobrze mu się dziać zaczęło... Zarabiał niezgorzej... lepiej nawet, niż na posadzie...

A w życiu brata Onufrego w on czas zaświtała po raz pierwszy zorza nadziei...

Dowiedział się ,orząc twardy kęs odwiecznego ugoru, że już niedługo kres jego niedoli położon będzie, że oto gdy wróci do wsi „barin“, którego lud wysłał do stolicy, aby wespół z innymi, najlepszymi z narodu nad polepszeniem doli chłopskiej podumał i wolę a ziemię do wsi swojej przywiózł — niech jeno wróci ten dobry i mądry barin, a skończą się smętne dni nędzy wieśniaczej...

Onufry szczerze w to uwierzył i tę maleńką zorzeńkę nadziei nad wszystko ukochał...

Stała się ona melodyą jego „burnej“ duszy...

. . . .

Inna zgoła melodya brzmiała i potężniała w duszy przepędzonego policyanta Matwija...

Echa nowin wolnościowych podsycały żar jego nienawiści. Z miasta gubernialnego, w którem skończył był swą karyerę policyjną, przeniósł się do innego miasta, większego i ruchliwszego... Do tego, skąd wyszedł, był do Dumy wysłany najtęższy, najgoretszy mówca, który w piekących, i druzgocących słowach walił butwiejący gmach starego porządku . . . Tego mówcę najsilniej nienawidził Matwij i na powrót jego do miasta rodzinnego czyhał.

Dzień powrotu znamienitego męża nastąpił . . . Nazajutrz miasto zostało oszołomione niezwykłą i niemal nieprawdopodobną wieścią . . .

Trybun ludowy, spacerując po miejskich bulwarach, został z zasadzki napadnięty przez niewiadomego sprawcę i położony trupem na miejscu!

Niewiadomego sprawcy nie wykryto. Uszedł bezkarnie...

. . . .

W tym samym niemal dniu powrócił do Biediszcza dobry „barin“, wysłany przez naród do stolicy...

Przywiózł on stamtąd złą nowinę, która lotem błyskawicy rozeszła się po wsi i wzburzyła wszystkich jej mieszkańców. Najsilniej przejął się tą wieścią tragiczną Onufry Burnyj...

Zrozpaczony i wzburzony do szału, pobiegł na folwark „barina“ i tam dopadłszy go zawołał:

— Przywiozłeś ziemię i wolę?

— Nie...

Potężne i zahartowane w mozolnej pracy dłonie prostaka powaliły dobrego barina na ziemię...

Zabójca nie uciekał — owszem, sam oddał się w ręce patrolującej sprawiedliwości...

. . . .

Oto historya braci Burnych z sioła Biediszcze.

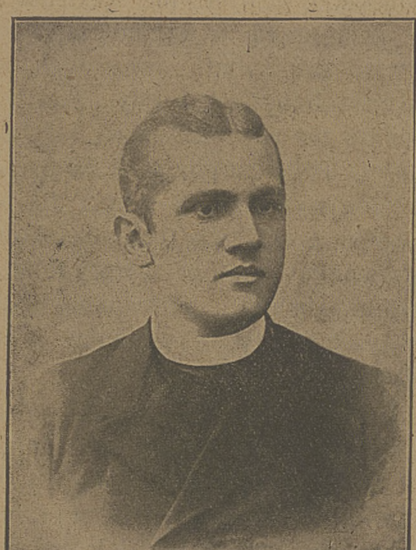
Dwóch ich było, z jednego ojca i matki, z jednej wioski, z jednego szczepu plemiennego...

Różnemi poszli drogami...

Z żałobnej karty.

Ś. p. Teofil Gapczyński.

Smutna wiadomość nadeszła z Rogoźna. Umarł w ubiegłą niedzielę około południa tamtejszy proboszcz ksiądz Teofil Gapczyński. Chorował przeszło tydzień na zapalenie płuc i uległ ciężkim cierpieniom, mimo nadzwyczajnych wysiłków lekarzy.



† Ks. proboszcz Teofil Gapczyński.

Był to jeden z zasłużeńszych naszych kapłanów, dla tego strata dla społeczeństwa poważna, a opuścił ten świat w młodym wieku, gdyż przeżył zaledwie 34 lata. Urodzony w roku 1875, po ukończonych naukach poświęcił się stanowi duchownemu i otrzymał święcenia kapłańskie dnia 4-go grudnia 1898 roku. Przez dłuższy czas był wikaryuszem przy kościele Bożego Ciała w Poznaniu i pożyteczną działalnością swoją zjednał sobie serca nie tylko parafian, ale i w szerszych kołach cieszył się wielką sympatyą. W roku 1906 ku ogólnemu żalowi opuścił Poznań i objął duszpasterstwo nad parafią w Rogoźnie, gdzie w krótkim czasie zdobył sobie serca tamtejszych mieszkańców. Ale bo też ś. p. ksiądz Gapczyński był prawdziwym pasterzem, kochającym swoje owieczki, gotowym w razie potrzeby do poświęceń. Za działalność podczas strejku szkolnego przesiedział 3 miesiące w więzieniu. W wolnych chwilach pracował także piórem, a od czasu do czasu zasilał nasze pisma swojemi pracami; obecnie drukujemy w naszym tygodniku ostatnią jego prace „O Juliuszu Słowackim.“ Przez pewien czas był też sekretarzem wydziału historyczno-literackiego Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Śmierć tego zacnego kapłana-patryoty wywołała szczery żal. Niech odpoczywa w pokoju!

Najnowsze wybryki mody paryskiej.

Gdy piękna i zajmująca młoda wdowa, pani Józefina de Beauharnais zdecydowała się w r. 1796 zaślubić skromnego korsykańskiego generała Napoleona Bonaparte, wtedy, chąc się niejako uniewinnić wobec znajomych z swego wyboru, postanowiła uczynić salon swój na Rue Chantareine zbornym punktem wytwornego paryskiego towarzystwa. Przedewszystkiem zamierzała nauczać piękne arystokratki, które tłumnie wracały z za granicy i — z więzień, sposobów podbijania i zwyciężania serc męskich. I osiągnęła zamierzony cel zupełnie. „La Reine Chiffon“ stanęła na czele kobiet, nazwanych „les Merveilleuses“, i zachwyciła od razu cały świat swoją kreolską, niezwykłą urodą i wdziękiem. Pani Józefina, która na wyspie Martynice nauczyła się przybierania klasycznej pozy i która znała potęgę swego czarującego głosu i śmiechu, umiała nadawać spojrzeniom i uśmiechom najrozmaitsze odcienia i stała się wnet wzorem wytwornej i dyskretnej zalotności nietylko dla kobiet współczesnych, lecz nawet i dla Paryżanek z r. 1910.

Ale pani Yeyette (tak nazywano Józefinę w kółku najzaufańszych przyjaciół), otoczona w swym ulubionym palacyku Malmaison mało wówczas znanemi i bardzo kosztownemi kameliami, rododendronami i mimozą, miała na sumieniu niejednę rozrzutnicę z wytwornego świata. Na tualety bowiem wydawała rocznie przeszło milion franków i twierdziła, że elegancka kobieta musi mieć rocznie przynajmniej 300 par bucików i pantofelków. Ona sama kupowała 520 par! Gdyby znajome i przyjaciółki pani Yeyette nie były widziały, jak piękna i kapryśna żona Napoleona używała przeważnie sukien z indyjskiego muślinu po 2000 fr. i otulała białe odkryte ramiona szalami koronkowemi po 3000 fr., to może nie byłyby żądały od mężów podobnych zbytków i nie uczyły córek, że tak być musi! — I dziś nie przedkładałaby Paryżanka na Nowy Rok mężowi rachunków, na których powtarzają się jednostajne pozycye: „czarny szal do białej muślinowej sukni“ — „złotem haftowany szal do sukni różowej Mousselin de Soie“ — „szal ciemno-niebieski do sukni zielonej Liberty“ itd. itd.

...Les femmes sont folles“. (Kobiety są szalone.) Jeżeli się to kobietom powtarza od rana do wieczora, jeżeli im się już rano przy śniadaniu powie, że są nierozsądne, przy szampanie zaś i ostrygach wieczorem, że są szalone, to dziwić się nie można, że udając się na spoczynek są biedne te istoty rzeczywiście przekonane o swym nierozsądku i szaleństwie, i że stosownie do tego postępują. Ale czy mężczyźni bawiliby się wtedy w Paryżu tak, jak się tam bawią? Nie. I odrobina nierozsądku nie szkodzi Paryżance wcale. Przeciwnie! Przyroda sama upoważnia ją do tego. Gdyby naprzykład w Paryżu zimą powietrze bardzo było ostrę i mroźne, to rozkaz krawca (jedynej wogóle osoby, której Paryżanka jest posłuszną) noszenia lekkich sukien, przezroczystych bluzek, ażurowych pończoch i wyciętych pantofelków, bardzo by się dawał paniom we znaki. Zaziębienia, katary i kaszle nie ustawałyby ani na chwilę. Jedynie głowę ukrywa Paryżanka nadzwyczaj starannie przed wzrokiem ludzi. Jak podstępny chochlik naciąga ona aż na uszy futrzaną czapeczkę i jeżeli znawca i amator urody kobiecej źle zrozumie ogniste spojrzenia pięknych oczu, wyzierających z pod futerka, to nie jego w tem wina, tylko wina barecika oszytego puchem łabędzim lub srebrnym lisem. Jedno i drugie nadaje oczom odrębnego koloru i blasku. A co zazdrosna czepeczka jeszcze by widzieć pozwalała, zgrabny nosek i czerwono pomalowane usteczka Paryżanki, to zakrywa nieznośna, nowomodna woalka, na której odznaczają się motywa monoplanów, biplanów, triplanów i wszelkich możliwych aeroplanów. Słowem — urocza twarzyczka Paryżanki zupełnie jest zakryta. Cieniuteńkie tkaniny o najrozmaitszych deseniach zasłaniają ją tak, że wygląda jak gdyby była tatuowaną. A jeżeli ujrzy się raz postać wysoką i wysmukłą w obszernym, w górę podniesionym atłasowym kapeluszu, i jeżeli się myśli, że raz chociaż ukaże się twarz nie lękająca się ani

deszczu ani wiatru, to można się założyć, że właścicielka kapelusza przeszła szczęśliwie sześćdziesiątkę i że należy do kategoryi tych kobiet, które mówią, patrząc w zwierciadło:

— Nikt nie pozna po mnie czterdziestki!

Teraz w zimie, na początku nowego roku, wre życie w Paryżu z podwójną siłą i chyżością. Miasto staje się wielkim jarmarkiem — okna wystawne nęcą i wzbudzają żądze i pragnienia, możliwe do spełnienia tylko dla tych niestety, którzy się z groszem liczyć nie potrzebują. A że do tego dużo potrzeba szczęścia, że szczęście najważniejszym w życiu jest czynnikiem i że należy koniecznie wyciągnąć rękę po nie, przeto obdarzali się Paryżanie w tym roku przeważnie „porte bonheur ami“. Czy to co pomoże? Może, bo rzeczywiście są piękne! Jakże mogłaby się odważyć troska lub bieda na odwiedzenie kogoś, mającego przy brylantami wysadzanym sautoir małego różowego słonia w srebrnej klatce! Albo czy mógłby kłopot i smutek wraz z swemi towarzyszkami, czarnemi myślami, nawiedzić kogoś, mającego przy łańcuszku gałązkę ostu, utworzoną z szmaragdów. Czy istnieje kobieta, której serce nie uderzyłoby silniej przy czytaniu wyrytych na „złotej monecie słów: „Kocham cię dziś więcej, niż wczoraj, a dziś mniej, niż jutro!“ Czy istnieje kobieta, którąby tym zwodniczym nie uwierzyła słowom?

Tak, wszakże „les femmes sont folles!“

Wieczorami siedzą, objęte srebrnemi i złotemi pancerzami, przylegającemi zupełnie ciasno do figury, przy stołach, nakrytych kosztownemi, adamaszkowemi obrusami. Tu współzawodniczy koronka wenecka z haftami z czasów odrodzenia, koronka Cluny z staremi złotem przetykanemi haftami. I na tych królewskich obrusach leżą pęki kwiatów, tak cudnych, wonnych i barwnych, że nie można wyjść z podziwu nad zręcznością paryskich „fleuristes“, wynajdujących co rok nowe a coraz piękniejsze mody na tem polu. Z małych kryształowych kielichów o srebrnej podstawie, wzoszą się z niezrównanym wdziękiem najrzadsze. najkosztowniejsze kwiaty i skłaniają się ku swym pięknym siostrom. Z delikatnych, lekko zabarwionych storczyków i różowych gwoździków, zdają się motyle pić słodycz i czekać na chwilę, w której biała dłoń kobieca umieści je przy staniku. Bo to jest le dernier chic: po obiedzie podaje każdy mężczyzna swej damie takiego motylka. — I motyl i kobieta ulatują... dokąd... dokąd...

„Les femmes sont folles!“

Gdy biedna i odepchnięta przez męża Yeyette usunęła się zupełnie do Malmaison, gdy już nie spędzała połowy dnia przed zwierciadłem, aby podziwiać grę światła na swych wspaniałych klejnotach, i gdy ściany jej buduaru nie rozbrzmiewały już jej srebrnym, dźwięcznym śmiechem, wtedy przygotowywano już suknie dla Maryi Ludwiki z ciężkich, adamaszkowych, haftowanych złotem materyałów. Indyjskie muśliny i powiewne koronki znikły, jak gdyby je ziemia była pochłonęła.

Bo moda jest tyranką, od której nic w świecie uwolnić nas nie zdoła. Potrzebuje ona zręcznych przedstawicielek o 42 centym. w pasie, wykonywujących jej rozkazy tak, jak ona je wydaje. Wszystko jest obecnie obliczone na przewrot w dotychczasowej modzie, ale chwilowo jest wszystko jeszcze pięknem i uroczem. A że „pierwsza kobieta“ w Francyi, pani Fallieres, nie odpowiada wcale wymaganiom mody i mocniej jeszcze zamyka portmonetkę, niż dwie jej poprzedniczki w pałacu Elizejskim, przeto Paryżanki z r. 1910 innych sobie szukają wzorów. Na scenie służą im jako wzory ogólnie znane i uwielbiane artystki, panie Sorel, Lantelme i Marta Régnier, w życiu powszedniem panie z plutokracyi, to jest baronowa Henrykowa Rotszyldowa, pani Maurycowa Ephrusi i pani Janowa Sternowa. Panie te dyktują prawa mody, bez względu na to, czy mężowie, ojcowie lub bracia mają pełne sakiewki, czy nie, i czy komu w nowych modach do twarzy lub nie. Byleby się mody zawsze zmieniały, o resztę nie

Fiołki.

(Do obrazu P. Stachiewicza).



„Les violettes naquirent des larmes repentantes d'Adam“
(Lègende orientale)
„Fiołki powstały z łez pokutnych Adama“
(Legenda wschodnia).

Wygnany z raju pierwszy syn tej ziemi,
Wybiegł na pola kędyś cichą nocą,
Jak ptak bezdomny szukając schronienia,
Przed własnych nieszczęść chroniąc się przemocą!
I płakał biedny nad szczęścia utratą,
Choć nikt nie widział boleści tej z bliska,
Ani nie zgłębiał przyczyny i żalu,
Który z rozpaczą do serca się wciska.
I łzy obfite spływały na ziemię, —
Jak krople rosy błyszczały dokoła,
Srebrny je księżyc na niebie przeliczał,
Szanując smutek zoranego czoła!
Cisza!... jęk tylko czasami stłumiony,
Rozpierał piersi demoniczną siłą,
Zamierał zwolna, jako echo dzwonów,
Kiedy nad świeżą zapłaczą mogiłą...

Przesiąkła łzami posmutniała ziemia,
I w strój pokutnej przywdziała się szaty,
Cała się fiołków kobiercem pokryła,
I odtąd fiołki — to Adama kwiaty!
Nazajutrz słońce razem z brzaskiem zorzy,
Witało kwiaty na ziemi nieznane,
I odtąd kwitną w każdej roku porze,
Niech je ten nosi — kto ma w sercu ranę.
Legenda mówi: że pociechę dają,
A często nawet są szczęścia zadatkiem —
Kiedy przez łąkę pójdziesz szmaragdową,
Skromnego fiołka nie pogardzaj kwiatkiem.

Marya Paruszewska.

Poznań, 29. I. 1910.

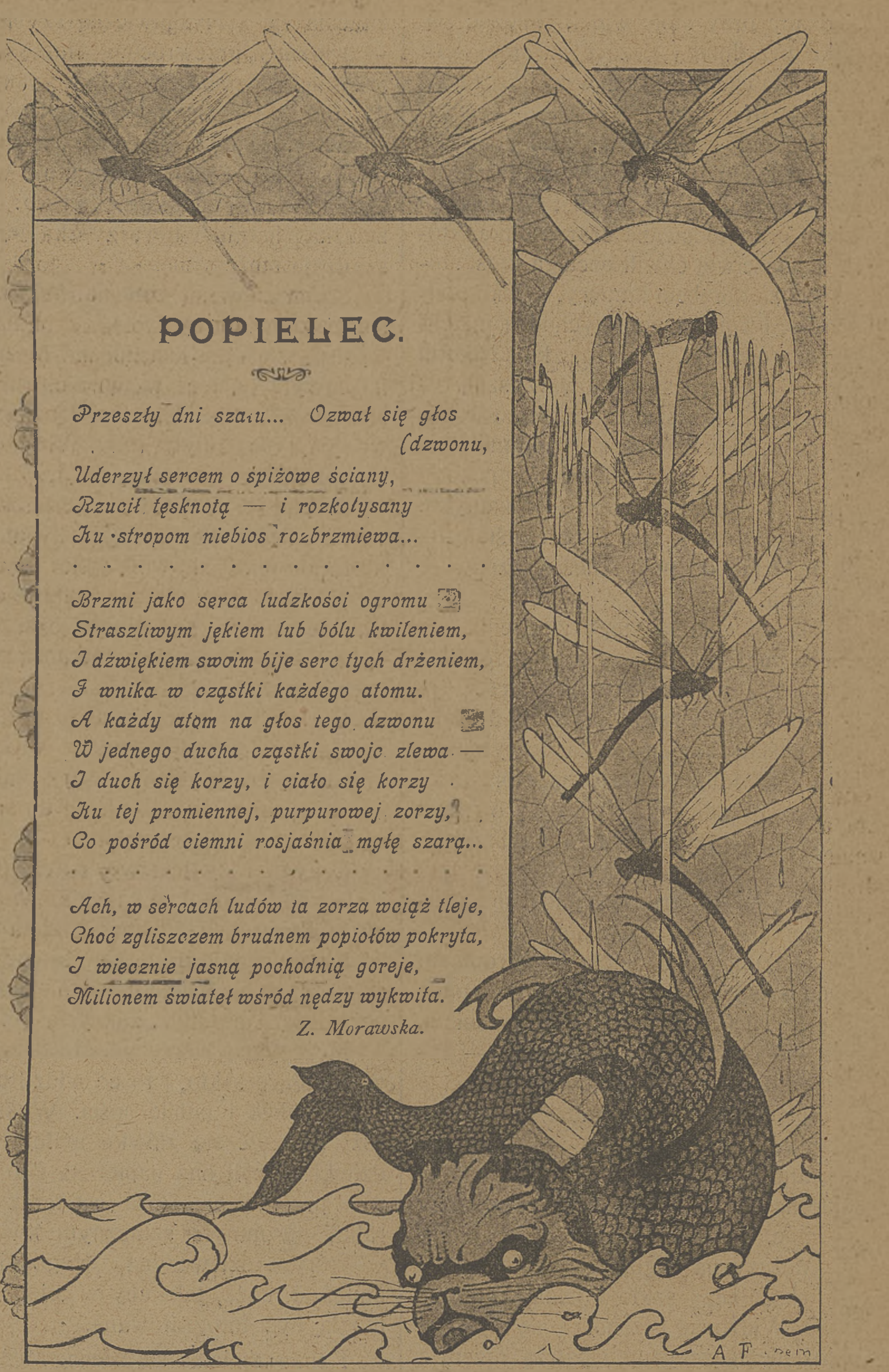
chodzi. Co one powiedzą, jest dla całego świata kobiecego wyrocznią! I jakże tu nie zgodzić się na to, że „les femmes sont folles?“...

Ulica Adama Mickiewicza w Medyolanie.

W Medyolanie nazwano jedną z ulic ulicą „Adama Mickiewicza“.

Pierwszą o tem wiadomość podała medyolańska „l'Unione“ w następującej wzmiance: „Dwie główne arterye parku, ciągnące się od Bramy Pokoju (Arco della Pace), biegnące jedna przed Arenami, a druga wzdłuż kolei północnej, otrzymały nazwy: „Ulica Włoch“ i „Ulica Francyi“ na pamiątkę wejścia wojsk sprzymierzonych d. 8 czerwca 1859 r. Innym ulicom i przejściom nadano nazwy cudzoziemskich znakomitości literackich, ażeby tym sposobem różne znakomitości europejskie były tu reprezentowane. Wybrano tedy nazwiska: Goethe, Schiller, Shakespeare, Milton, Byron, Racine, Molière, Zola, Puszkin, Cervantes, Camoens, Petöfi, Mickiewicz, Ibsen.

W związku z tem donoszą z Rzymu, iż inicyatywa wyszła w danym razie od p. Teodora Moneta, znanego we Włoszech działacza idei pokojowej, który niedawno otrzymał nagrodę Nobla za swoją działalność w sprawie propagandy pokojowej i jest prezesem „Ligi“ na Włochy. P. Monet jest szczerym przyjacielem Polski. Jak wiadomo, Adam Mickiewicz przebywał w Medyolanie w epoce ruchu wolnościowego w r. 1848 i przemawiał tam do ludu.



POPIELEC.

Przeszły dni szału... Ozwał się głos
(dzwonu,
Uderzył sercem o spiżowe ściany,
Rzucił tęsknotą — i rozkołysany
Ku stropom niebios rozbrzmiewa...
. . . .

Brzmi jako serca ludzkości ogromu
Straszliwym jękiem lub bólu kwileniem,
I dźwiękiem swoim bije serc tych drżeniem,
I wnika w cząstki każdego atomu.
A każdy atom na głos tego dzwonu
W jednego ducha cząstki swoje zlewa —
I duch się korzy, i ciało się korzy
Ku tej promiennej, purpurowej zorzy,
Co pośród ciemni rosjaśnia mgłę szarą...
. . . .

Ach, w sercach ludów ta zorza wciąż tleje,
Choć zgliszczem brudnem popiołów pokryta,
I wiecznie jasną pochodnią goreje,
Milionem świateł wśród nędzy wykwita.

Z. Morawska.

Rozmaite sztuczki w kinematografii.

(Ciąg dalszy).

Przypatrzmy się wynikowi tych „tricków“ na filmie, wykonanym w Ameryce, wprowadzonym przez Vitagraph Company of America i przedstawionym w kinematograficznych teatrach pod tytułem „księżniczka Nicotin“. Szczegóły znajdują się w sprawozdaniu, ogłoszonem przez dyrektorów tego towarzystwa, J. Stuarta Blakton i Alberta E. Smitha, w Scientific American:

Na początku przedstawienia widzimy mężczyznę, siedzącego przy stole, na którym znajduje się pudło z tytoniem, pudełko zapałek, fajka, powiększające szkło z trzymadłem, butelka whisky, i syfon wody sodowej. Nieco dalej stoi na jakiemś pudle jeszcze jedna biała butelka. Mężczyzna nakłada fajkę, lecz nie zapala jej, jest on bardzo zmęczony, ziewa, opiera się wygodnie o poręcz krzesła, i zasypia. Teraz podnosi się wieko od pudła z tytoniem samo, i wychodzi z niego maleńka księżniczka Nicotin. Przeskakuje przez fajkę, wraca do pudła, pomaga wyjść z niego jeszcze mniejszej czarodziejce i każe jej wejść do fajki.

Jakim sposobem osiąga się ten efekt? Księżniczka Nicotin jest aktorką średniej wysokości, towarzyszka jej dwunastoletnią dziewczynką. Nie odgrywają one jednak swych ról tam, gdzie siedzi śpiący mężczyzna, tylko stawają przy zdejmowaniu sceny tuż przy kamerze, tak, że obraz ich nie może być przez kamerę pochwyconym. A jednak ukazuje się obraz ich w zwierciadle, daleko po za stołem, przy którym siedzi mężczyzna. I ten obraz zwierciadlany, wydający się z powodu wielkiej odległości kobiet bardzo małym, zostaje podjętym równocześnie z osobą śpiącego i całem otoczeniem za pomocą kinematograficznego aparatu. Istnienie zwierciadła nie może widzowi podpadać, tworzy ono bowiem w oknie, znajdującem się w dosyć znacznej odległości za śpiącym, szybę, i jako okno ukazuje się na fotografowanym obrazie. Soczewka kamery leży w równej wysokości z płytą stołową, tak więc wydaje się, że maleńkie figurki obrazu zwierciadlanego stoją na stole. Mężczyzna

siedzący przy stole widzi, budząc się, tylko przedmioty, leżące na stole, lecz musi udawać, że widzi wszystko to, co przedstawiono publiczności. —

Wracamy raz jeszcze do początku przedstawienia. Pudło otworzyło się na pozór samo. W rzeczywistości jest do wieka przymocowana czarna nitka, którą w właściwej chwili pociąga ktoś, stojący poza obrębem kamery. Wieko podnosi się i z pod niego wychodzą maleńkie czarodziejki. Księżniczka Nikotin wyjmuje wraz z swoją towarzyszką tytoń z fajki, mniejsza czarodziejka wchodzi do fajki, zakrywa się listkami tytoniu, podczas kiedy księżniczka Nikotin wraca do pudła i wieko za sobą zamyka. Potem podnosi je raz jeszcze, uśmiecha się figlarnie do publiczności i znów je spuszcza.

Dla wywołania tego złudzenia potrzeba pudła i fajki ogromnych rozmiarów, tak, aby dorosłe osoby zmieścić się w nich mogły. Przedmioty te są dokładnem naśladowaniem pudła do tytoniu i fajki, znajdujących się na stole przy pierwszem zdjęciu, tylko są o wiele większe. Olbrzymie pudło i olbrzymia fajka znajdują się oczywiście na tem miejscu, na którem występują obie czarodziejki, i tylko za pomocą zwierciadła ukazują się na stole w ogromnem zmniejszeniu. Nie byłoby przyjemnie dziewczynce zakrywać się tytoniem, lecz nie potrzebuje tego czynić — tytoń zastąpiony jest sianem.

Śpiący mężczyzna budzi się. Chwyta fajkę i zapala zapałkę — dzieje się to naturalnie z użyciem przedmiotów, jakie na początku przedstawienia leżały na stole. Fajka jednak nie chce się palić. Mężczyzna zagląda w fajkę, bierze powiększające szkło i bada starannie tytoń. Widzowie przenoszą się myślą w położenie mężczyzny i patrzą razem z nim przez powiększające szkło. Scena zmienia się — na płótnie widzimy tylko jeszcze olbrzymią fajkę — żywa czarodziejka wychyla się z niej, otoczona kłębami dymu, śmieje się i grozi palcem.

Ten zwiększony obraz znajdującej się na stole fajki otrzymuje się w ten sposób, że dziewczyna jest fotografowaną w olbrzymiej fajce, leżącej dotychczas obok kamery. Musimy sobie zawsze uprzytomnić, że to, co nam się podczas przedstawienia wydaje nieprzerwanym łańcuchem obrazów tej samej sceny, jest złożonem z zdjęć najrozmaitszych sceneryj.

Nagle ukazuje się znów dziwny obraz. Mężczyzna siedzi przy stole, odkłada zdumiony powiększające szkło, przewraca fajkę i wysypuje popiół, który znów ogląda przez szkło. Scena zmienia się z błyskawiczną szybkością — widzimy przewróconą fajkę w olbrzymich rozmiarach z wysypanym i dymiącym się popiołem. — Dziewczyna zrywa się, śmieje się, grozi mężczyźnie, biegnie do pudła i wskakuje w nie. Raz jeszcze podnosi się wieko: księżniczka Nikotin i towarzyszka jej wyszydzają mężczyznę.

Scena znów się zmienia. Mężczyzna siedzi znowu przy stole, z pudła zaś wysuwa się ręka księżniczki. Mężczyzna chwyta je, lecz w tejże chwili spostrzega, że to nie delikatna rączka dziewczęca, tylko łodyga róży. Wieko unosi się cokolwiek — mężczyzna trzyma różę, dotyka jej nosem i zaczyna straszliwie kaszleć i dławić się, z kwiata bowiem nie unosi się woń, tylko gryzący, ostry dym. Zbytecznem byłoby dodawać, że zamiana maleńkiej rączki na łodygę róży odbywa się za pomocą odstawienia aparatu, czyli, że kamera jest zatrzymana, ręka zastąpiona różą i aparat znów dalej funkcyonuje. W czasie przedstawienia odwija się film bez przerwy, tak, że złudzenie co do zamiany ręki i róży, jest zupełne.

Łodyga róży jest wewnątrz próżną i złączoną z pudłem cienkim wężem, przez który siedzący pod stołem człowiek wdmuchuje dym. Na obrazie fotograficznym nie widać go, ponieważ serweta leżąca na stole, zakrywa go.

Mężczyzna bierze po raz drugi powiększające szkło, i to co widzi, udziela się także i publiczności. W środku róży ukazuje się główka małej czarodziejki — pali ona papierosa i dmucha dym przed siebie. Róża jest teraz naturalnie ogromnym sztucznym kwiatem, w którym dziewczyna wygodnie się zmieścić może, tak, aby w tej pozycyi mogła być fotografowaną.

I znów zmienia się scena. Mężczyzna przerażony, upuszcza różę (tym razem jest to róża papierowa naturalnej wielkości) i ucieka. Listki róży rozsypują się natychmiast same, tańczą do środka stołu i zwijają się tam w cygaro.

Jak się wywołuje ten niezwykły efekt?

Aparat zostaje odstawionym, reżyser zrywa jeden listek róży, znika, zdjęcie następuje. Aparat zostaje znowu odstawionym, reżyser zrywa drugi listek i tak dalej. Potem zgarnia je razem, znika i tym sposobem otrzymujemy cały szereg obrazów, różniących się od siebie tylko położeniem listków. Zwijanie się cygara odbywa się zupełnie tak samo. W rzeczywistości widać zawsze tylko wynik pracy w tysiącznych odmianach, lecz nie widać nigdy pracy samej. Jeżeli więc w ten sposób przygotowany film przesuwa się przed oczami widza z szybkością dwudziestu zdjęć w sekundzie, to oddaje łudząco przedstawienie tańczących listków róży, skaczących ku jednemu miejscu, aby się zwinąć tam w cygaro.

(Dokończenie nastąpi).

Piesek.

I.

Biegł zawsze przed Nim; — nieraz do ogródka
Z głośnem szczekaniem wpadał po przez kwiaty
Znak nieomylny ten... Szczęścia pobudka!!...
. . . .
Serce mi biło wówczas jakby młotem,
Oko choć skromnie spuszczone ku ziemi
Cień już złowiło... drogi cień za płotem.

By drżącej ręki ukryć zdradną mowę
W koszyczek szybko robótka wędruje...
Prędzej! — W bzów gąszczach migły włosy płowe! —
„Dzień dobry pani!" — „Hau! haf!" wówczas psina:
(„Przywiodłem ci go, daj więc liznąć rączkę —
I — ucz się panie! jak się to zaczyna!")

II.

Bywało czasem, siedzieliśmy razem
I czas obojgu płynął słodką falą
Wtem sąsiad stuka! — „Piesku! — będziem głazem!"...
I co powiecie? — mrugnął tylko okiem
Czarnym ogonkiem w znak porozumienia,
Bijąc o ziemię zerkał na nas bokiem....

III.

Wszystko to przeszło. W miejsce bzów puszystych
Zasiano marchew; dwoje młodych dzielą
Czas, lądy, morza, ślady klątw wieczystych...
A piesek czarny? — Cichy świadek chwili?
Piesek w kanapie wydrapawszy dziurę—
Przypłacił drogo — pieska — utopili!!

K. B.



Czy kocha, czy nie kocha?

Legenda rękawiczki.

Czy wiecie, moje piękne panie, że rękawiczka, którą ubieracie wasze białe, jak śnieg, ręce, zawdzięcza swoje powstanie zazdrości?

A jednak tak jest.

Opowiada o tem legenda skandynawska, w krajach bowiem północy, po raz pierwszy kobieta wzbogaciła nią podobno swoją garderobę.

Żył w krajach tych przed wiekami rycerz waleczny i zuchwały.

O sercu lwa i jagnięcia zarazem.

Bo gdy mu przyszło na czele współtowarzyszów nieść śmierć i zniszczenie ludom zachodu, nie znał dla nich miłosierdzia, był im czemś w rodzaju granitowej skały, ale gdy stanął przed panią swej myśli, miękł przed nią, niby wosk przy ogniu, tajał, niby śnieg pod działaniem promieni wiosny.

Bo się kochał, jak tylu rycerzy i nie rycerzy przed nim i po nim, bo w niej, jak tylu, widział niebo i słońce swojego ducha.

Nic w tem dziwnego, miała bo ona być piękna, jak anioł. Niczem Heloiza Abelarda, Julietta Romea, Marya Mickiewicza.

Legenda nie opisuje jej boskich kształtów, ale powiada, że miała włosy jasne, a rękę tak białą i drobną, iż do niej właśnie dałby się zastosować całkowicie wiersz, w którym nasz poeta zamknął zachwyt dla tego skarbu drogiego kobiecej piękności.

„Na twoją rękę padł śnieżek biały,
I bielszym od niej się mienił,
Ale poznawszy błąd swój zuchwały,
Z rozpaczy w łzę się zamienił“.

Otóż rycerz nasz zazdrosny był o tę rękę, jak Otello Szekspira o Desdemonę.

Patrzeć na nią innym pozwolił, ale całować, ani nawet dotknąć — nie!

A tymczasem prosiła się ona sama niemal o pocałunek, a przynajmniej o dotknięcie czulsze.

To właśnie spędzało sen mu z powiek.

Dopóki pokój panował w Skandynawii, sypiać on jeszcze jako tako mógł, ale wiadomo przecież, że w owych czasach pokój był tylko czemś w rodzaju międzyaktu w sztuce na scenie.

Ludzie mordowali się ciągle, chwilowo tylko wypoczywali, aby nabrać sił do nowych morderstw.

Nie tak, jak my, cywilizowani ich następcy, którzy po chrześcijańsku rujnujemy się tylko bezustannie, utrzymując pokój zbrojny, by dał nam do wojen w przyszłości siłę.

Otóż w Skandynawii nagle, po jednym z takich międzyaktów pokojowych, zatrąbiono pobudkę wojenną.

Zaczęto zwoływać rycerzy, z całego kraju, by przyodziawszy na siebie zbroje, stawili się w dniu oznaczonym w punkcie zbornym. I nasz rycerz powołany z innymi został. Powołany i dotknięty niby gromem.

Zanim ją poznał, a poznawszy, pokochał, szedł on na wyprawy krwawe z ochotą, ale teraz!

Na tę rękę wszyscy patrzeć będą, niejeden z pozostałych w kraju dotknie ją ustami.

To żar piekła niecił0 w jego duszy.

I nakazywało pracować wyobraźni.

Co zrobić, aby do tego nie dopuścić, gdy więc rąk tych zabrać ani ze skarbem, ani bez skarbu nie było podobna, należało je i siebie od takich klęsk zabezpieczyć.

I wynalazł dla ochrony ich — rękawiczki.

— — — — — — — —

Rycerz poszedł na wojnę, pogruchotał na niej stosy całe kości nieprzyjaciół, wytoczył z ich żył beczki krwi, wreszcie powrócił do swojej lubej.

I zdjął z jej ręki rękawiczki.

I o dziwy! — zobaczył rękę o wiele bielszą i piękniejszą.

Odcięta od ludzi i powietrza, wydelikatniała, zrobiła się przejrzystą, jak alabaster.

Ale niestety zobaczyły to inne kobiety.

I świadome jej cudownego wpływu, od tej chwili zaczęły się w nią przybierać.

. . . .

Mężowie żon naszych i nie naszych! Jeżeli wasze piękne panie zmieniające rękawiczki na każdy wieczór, budżetom waszym przynoszą uszczerbek, nie narzekajcie na nie, nie odmawiajcie im po tyrańsku grosza, nie nakazujcie im, by z gołemi rękoma wychodziły na świat, ale złorzeczcie zazdrości, nie co innego bowiem, tylko ona, ta sprawczyni tylu zgryzot i mordów, jest twórczynią rękawiczek.

I pocieszajcie się w waszych zgryzotach tem, czem się rycerz skandynawski pocieszał.

Gdy oczy tłumów spoczną na rękach waszych bóstw, ujrzą one jedynie... rękawiczkę.

Swoboda umysłu i radość.

Swobodny umysł jest — „siłą duszy“ w walce o byt, zaś — dbałość o zdrowie „najetyczniejszym warunkiem“ — wesołości. „Największem naszem szczęściem“ — powiada Szopenhauer „jest wesołość umysłu“, bo ten dobry przymiot, natychmiast staje się naszą nagrodą. Kto jest wesoły, ma powód do tego, mianowicie ten, — że jest wesołym... Nic — tak zupełnie wszelkiego dobra nie zastępuje jak właśnie ten przymiot tak jak wesołości za nic w świecie niktby nie zamienił. Jeśli kto jest młodym, pięknym, bogatym, szanowanym, nasuwa się pytanie — czy jest też wesołym? Jeżeli zaś kto jest wesołym, obojętnem bywa czy on jest młodym lub starym, bogatym lub ubogim, jest — szczęśliwym.“

O Demokrycie opowiadają, że w drugiej połowie życia, tak dużo śmiał się, iż to wzbudziło obawę jego współobywateli, czy on przypadkiem nie cierpi na umysł? Jednak Hipokrates po zbadaniu orzekł — że nie, — że to tylko śmiech. — Grecki lekarz już przed dwoma tysiącami lat, opisywał w swych dziełach swoją wiarę w wartość śmiechu dla utrzymania zdrowia—i rzeczywiście — śmiech jest zdrowym! — Nic nie jest zdolnem ciało i ducha bardziej odświeżyć jak taki „serdeczny“ to jest z „serca pochodzący“ wesoły śmiech. Jakby wesoły strumyk przepływa krew w naszem ciele. Kłopotami zorane czoło — wygładza się w wesołem towarzystwie, ponury wzrok traci swą ponurość, błyszczy, oczy się rozszerzają i — pięknieją. Można to często obserwować zadawszy sobie trochę pracy. Kto w „walce o byt“ uprzejmie, wesołe usposobienie zachował, ten nawet w starości młodziej wygląda i zdrowszym jest, aniżeli ponury melancholik. Widocznie niezadowoleni ludzie „szperający“ za czemś niemiłem, a zazdrośni, sami sobie są winni, jeśli wyglądają na starszych niż są istotnie, bo nic nie żłobi zmarszczek tak wcześnie, nawet na pięknem obliczu, jak zawistny, zgryźliwy, skłonny do użaleń, temperament. Swobodny umysł i wesoły, to środek uniwersalny „elixir“ młodości.

Niezbędnym warunkiem jednak — wesołości — oprócz pielęgnowania zdrowia, jest dobra silna wola. Jeśli kto nie posiada temperamentu skłonnego do wesołości, musi go sobie silną wolą wyrobić, smutek przezwyciężyć, zgryźliwość — nawet ból serca otrząsnąć.

W humorystyczny sposób daje radę pewna angielska pisarka mówiąc: „złóż wszystkie troski na dno twego serca, następnie usiądź — na pokrywce i — śmiej się.“ Że silna wola dużo może, ażeby nawet nieszczęście zażegnać i smutek rozwiać — o tem nie ma dwóch zdań. Carlyle powiada: Nie to, co człowiek zewnętrznie posiada lub czego mu brak, tworzy jego szczęście, lub przeciwnie, ubóstwo, nędzę wszelkiego rodzaju, śmierć nawet, swobodnie się zniesie jeśli — serce w porządku.“

Nie trzeba się też każdą błahostką rozdraźniać, w każdej rzeczy „trzeba chcieć,“ tylko dobre strony widzieć. „Szczęśliwy ten kto w kłopocie życia zdobywa dobry humor.“ Uparcie należy się starać, by rozdraźnieniu nie ulegać.

Słyszymy często upominanie do pilności i pracy; powinniśmy też być upominani do wesołości, bo ona tylko czyni nas zdrowymi i silnymi, ułatwia pracę i — oddala — starzenie się.

Kto jest najroztropniejszym ten też najlepszym być może prorokiem; bo roztropność jest poznawanie, obieranie i używanie środków skutecznych do końca upatrzonego.

Jan Bohomolec.

Epizod z czasów rewolucyi.

Nieznajomy. Siostra Agata.
Ksiądz. Siostra Marta.

Rzecz dzieje się dnia 21 stycznia 1793 r. Wieczór, wpół do jedenastej. Pokój mansardowy na faubourg Saint-Martin. Dwa snopy słomy znajdują się przy murze po lewej stronie i w głębi. Z lewej strony wyjście na schody. W głębi kominek, na którym ogień dogasa, obok kilka kawałków drzewa. Na kominku kosztowny relikwiarz. Z prawej stoi komoda bardzo zniszczona, po bokach dwa kufry. Między kominkiem a jednym kufrem, drzwi wiodące do drugiego pokoju. Z prawej, z przodu sceny stół; na stole dwa lichtarze z mosiądzu, kilka talerzy, trzy szklanki, trzy noże, chleb okrągły. Z lewej okno.

Mury odrapane i popryskane wodą.

Scena I.

Ksiądz, Siostra Agata. (W chwili podniesienia kurtyny ksiądz i Siostra Agata siedzą przy stole. Przy świetle świec on czyta brewiarz, ona odmawia różaniec. Od czasu do czasu ksiądz podnosi wzrok i zdaje się nadsłuchiwać. Natenczas Siostra Agata przestaje odmawiać swój niemy pacierz i nadsłuchuje również. Słychać uderzenie zegara, zwiastujące wpół do jedenastej).

Siostra Agata — Wpół do jedenastej. Siostra Marta nie wraca.

Ksiądz — Ufaj, córko, w dobroć Zbawiciela.

Siostra Agata — Boję się. Nie powinnam była pozwolić jej wyjść. Jest za słaba, aby brodzić w śniegu o tej porze.

Ksiądz — Ty jesteś w tym samym wieku, siostro.

Siostra Agata — Jestem silniejszą od niej.

Ksiądz — Jesteś również słaba, siostro Agato.

Siostra Agata — Cóż ją spotkać mogło? Już przeszło dwie godziny, jak wyszła z domu!

Ksiądz — Tak dużo śniegu dzisiaj!

Siostra Agata — (zbliżając się do okna) Jeszcze pada!

Ksiądz — Ciężko musi się jej iść, a góra do nas dosyć znaczna, oby tylko nie padła!

Siostra Agata — Ojcze mój, ojcze! Nie o to obawiamy się, ty i ja.

Ksiądz — Siostro Agato, nie rozumiem ciebie.



I. Ilinicz. Rankiem przed pocztą w miasteczku w Krol. Polskiem.

Siostra Agata (siada) — Ty nie chcesz, ojcze, mnie zrozumieć.

Ksiądz — Módlmy się.

(Ksiądz czyta dalej brewiarz, Siostra Agata odmawia różaniec; cisza).

Siostra Agata — (Wstaje i zbliża się do drzwi, które wychodzą na schody). — Nic nie słychać, o Boże!

Ksiądz — To wiatr tak dmie.

Siostra Agata — Okropny ten wieczór.

Ksiądz — Ah! Powinienem sam był iść...

Siostra Agata — Nie myśl o tem, mój ojcze. Przecież na ciebie czatują. Nie możesz stąd wyjść, mogliby cię zaraz poznać, zadenuncyować i wydać.

Ksiądz — Lecz czyż wy obie macie za mnie cierpieć? Nie mogę dłużej patrzeć na to, że narażacie swoje życie, aby ochronić moje.

Siostra Agata — Nasze życie! Przecież wiesz, mój ojcze, że nie żyjemy od czasu, gdy po wybuchu rewolucyi zamknięto nam klasztor w Chelles. Nie mamy prawa nosić habitu. Nasza przyjaciółka nazywa się znowu panna Michalet, ja nazywam się, jak dawniej, panna de Langeais, a właściwie ona nazywa się obywatelka Michalet, a ja obywatelka Langeais. Siostra Marta i Siostra Agata umarły.

Ksiądz — Byłyście jako dwa ptaki czyste i żyłyście pobożnie w waszej świętej klatce. Wyłamano wam kraty. Powiedziano wam: „Fruwajcie wolno“! Wolno! Lecz nie dano wam tej wolności, abyście się mogły oddać Bogu. Ah! Wszystkie te święte istoty wiodą równie marny żywot jak wy. Nie mogą swobodnie wzbić się w niebiosa, braknie im białych skrzydeł przy kornetach!

Siostra Agata — Obcięto nam skrzydła!

Ksiądz — Jesteście wszystkie męczennicami, lecz jednak żyjecie jeszcze; wolno wam wierzyć w lepszą przyszłość, a ja nie mam prawa was narażać. Przechowując i żywiąc księdza, który nie złożył rządowi świętokradzkiej przysięgi, narażacie się na więzienie, może na śmierć.

Sostra Agata — Nie szkodzi. Życie nasze nie jest tak cenne, lecz ty ojcze otrzymałeś święcenie.

Ksiądz — Mój Boże, cóż ja jeszcze dobrego zrobić mogę w tem życiu?

Siostra Agata — Gdy nastaną lepsze czasy, będziesz znowu, mój ojcze, celebrował mszę świętą i nauczał wiernych.

Ksiądz — Wiernych...

Siostra Agata — (z ogniem) — Wiara nie wymarła. Znowu tłum ludu otaczać cię będzie, słuchając twych nauk. Że w gronie zakonnic dwa kornety zabrakną, cóż szkodzi! Lecz Pan Bóg będzie potrzebował takich księży, którzy byli silniejsi nad rewolucyę, i którzy ją przeżyją. Twoim obowiązkiem jest, mój ojcze, przyjąć naszą pomoc.

Ksiądz — Siostra Marta nie wraca.

Siostra Agata — Miała przecież iść tylko do znajomego, który nam obiecał dostarczyć hostyj.

Ksiądz — Może to on właśnie ją wydał!

Siostra Agata — Może! Jest on wprawdzie dobry człowiek, kocha żonę i dzieci. Posiada przecież uczucia religijne.

Ksiądz — Może się obawiał.

Siostra Agata — Jak tylu innych! Ah! ten terroryzm, przed którym drżą wszyscy Paryżanie, wszyscy Francuzi.

Ksiądz — Nieszczęśliwi!

Siostra Agata — Aby przez dni kilka uratować ciało, są gotowi dusze swe zaprzepaścić na wieki.

Ksiądz — To niedowiarki...

Siostra Agata — To podli. Niedługo wydadzą swe dusze, swoich najbliższych, aby nie byli posądzeni o bierność, aby okazać współudział w ruchu rewolucyjnym. Drżą przed nożem gilotyny i wskutek tego staną się bandą szpiegów.

Ksiądz — Siostro!

Siostra Agata — Przecież wydali rodzinę królewską.

Ksiądz — Milcz, siostro!

Siostra Agata — Naród pogański! Naród niewolniczy!

(Pukanie słychać).

Ksiądz — Ktoś pukał.

(Siostra Agata kładzie palec na ustach. Cisza. Słychać znowu pukanie).

Siostra Agata — Siostra Marta wraca. (Idzie ostrożnie otworzyć drzwi).

Scena II.

Ciż sami, Siostra Marta.

Siostra Marta — (wchodzi bardzo blada, ośnieżona) Ojcze mój, ukryj się! Człowiek tam stoi!

(Ksiądz prowadzi ją blizko kominka i sadza na krześle).

Siostra Marta — Siostro nie widzisz go na ulicy? (Ksiądz idzie machinalnie ku oknu). Nie przybliżaj się do okna, mój ojcze!

Siostra Agata — (patrzy nie odsuwając firanek, które zastępują rolosy). Owszem, widzę jakiegoś człowieka po drugiej stronie ulicy. Zatrzymał się mimo zawiei śnieżnej i obserwuje nasz dom.

Siostra Marta — Nie strać go tylko z oczu!

Siostra Agata — Jest to człowiek, który od dwóch dni kręci się w koło nas.

Ksiądz — Czy tylko jesteś tego pewną?

Siostra Marta — Poznałam go natychmiast.

(Wpada w odrętwienie. Ksiądz przynosi jej szklankę wody; siostra Agata stoi w oknie na straży).

Ksiądz — Siostro, jak się czujesz?

Siostra Marta — (przychodząc do siebie). Czy ciągle tam stoi?

Siostra Agata — Tak, ciągle!

Siostra Marta — Przed chwilą, gdy wyszłam z domu, zobaczyłam go przedemną, jakoby czekał na mnie. Pozwolił mi przejść. Zdawało się, że mnie nie zauważył. Lecz byłam pewna, że idzie za mną. Nie chciałam więc iść wprost do tych poczciwych ludzi, którzy nam sprzedają hostye. Obawiałam się, aby ten szpieg nie szkodził Duret‘owi i jego żonie, gdyby mnie widział, że do nich idę. Skręciłam w małą uliczkę... siostro Agato, czy stoi ciągle? Widzisz go?

Siostra Agata — Widzę go, przechadza się, jakiś niezdecydowany!

Ksiądz — Cóż dalej, siostro?

Siostra Marta — Uliczka ta była spokojną. Nie słyszałam żadnych kroków za sobą. Odważyłam obrócić się i ujrzałam go o kilka kroków! Śnieg zagłuszał szelest jego stąpań. Gdy się zatrzymałam i on stanął. Szłam dalej — on szedł za mną. Gdy uciekałam — on przyspieszał kroku. Drżałam na całem ciele — czułam, że mnie siły opuszczają. Oszalała ze strachu, nawróciłam w główną ulicę i zastukałam do drzwi Duret‘a. Żona jego przyszła mi otworzyć. Drżałam z zimna i strachu. Zmusiła mnie do wypicia filiżanki buljonu. Przed domem, ów człowek na mnie czekał.

Siostra Agata — Stoi ciągle przed naszemi drzwiami.

Siostra Marta — Nie miałam odwagi wyjść. Zwierzyłam się pani Duret. Ta zawołała swego męża, który się zjawił przybrany w czerwoną czapkę. Jest to poczciwy człowiek, lecz boi się podejrzeń. Nie obawiaj się, pani, rzekł mi. Pójdę powiedzieć słówko nieznajomemu, który cię tak przeraża. Jeżeli nie zechce się oddalić, sam cię odprowadzę do domu.

Ksiądz — Dobre serce!

Siostra Marta — Wyszedł, kilka minut później wrócił, blady bardzo i wołał, krzycząc: „Chcesz nas zgubić, nieszczęsna arystokratko? Myśl o tem, jaknajprędzej stąd odejść i nie wracaj więcej. Lecz żona jego dała mi pokryjomu hostye. Otóż są.

Ksiądz — (odbierając małą paczkę). Dziękuję, dziękuję!

Siostra Marta — Opuściłam ich dom słaniając się. Sama nie wiedziałam, co robię. Zdaje mi się, że padłam kilka razy. Tak... tak... Upadłam, podniosłam się i znów padłam. Błądziłam po wązkich, ciemnych uliczkach, których nie znam. Pytałam się w duchu: Któż jest ten człowiek, którego widok przestraszył Dureta? Któż jest ten człowiek, który mnie ściga? — Czułam, że szedł za mną, w dość znacznem oddaleniu. Mógł był zatrzymać mnie i wypytywać. Lecz nie przybliżył się do mnie, jak gdyby się obawiał mnie przestraszyć. Chwilami pytałam się siebie, zali to szpieg, lub przyjaciel?

Siostra Agata — (ciągle przy oknie). Kto wie? może niesłusznie go podejrzewamy. Któż wie, czy tam na ulicy, tak blisko nas nie znajduje się człowiek, przysłany przez panów de Langeais i de Beaucourt, który ma nas przeprowadzić do nich, za granicę, do wolności.

Ksiądz — Gdyby ów człowiek przysłany był przez panów de Langeais i de Beaucourt, dlaczego Duret zadrżał na jego widok?

Siostra Marta — Może poznał jakiego arystokratę i obawia się być wciągniętym do spisku.

Ksiądz — Niedorzeczność!

Siostra Marta —Każda nadzieja wydaje nam się niedorzeczną.

Siostra Agata — Może to człowiek, który ma nas ocalić. Ten, którego powitamy słowem: *Hosanna,* a który nam odpowie: *Fiat voluntas.* To są nasze umówione słowa, nieprawdaż?

Ksiądz — Tak siostro, lecz nadzieja twoja bardzo niepewna.

Siostra Agata (odchodzi na chwilę od okna) — Dlaczego, mój ojcze?

Siostra Marta — Siostro Agato! a okno.

Siostra Agata — (wraca do okna) — Zapomniałam, lecz człowiek ów zniknął.

Ksiądz — Widocznie myśli, że dosyć długo stał na śniegu, więc oddalił się.

(Słychać zamykanie drzwi od dworu).

Wszyscy troje — Oh!

Ksiądz — Czy to drzwi od domu?

(Nadsłuchują.)

Siostra Marta (półgłosem) — Idzie ktoś po schodach.

Ksiądz — Eh! to pewnie gospodarz wraca do domu.

Siostra Agata — Nie, nie! Słyszę, nie zatrzymał się na pierwszem piętrze.

Siostra Marta — Przybliża się. On do nas idzie.

Ksiądz — Dlaczego do nas?

Siostra Marta — Do nas idzie, jestem pewna, że do nas.

Siostra Agata — Schowaj się, mój ojcze.

Ksiądz — Ależ...

Siostra Marta — Proszę cię o to, mój ojcze.

Siostra Agata — (cofając się) — Człowiek jest tuż, pode drzwiami.

Ksiądz — (idąc do swego pokoju) — Będę się modlił.

(Dokończenie nastąpi.)

Kometa.

Z obserwatoryum astronomicznego donoszą do „Czasu“, że w Krakowie dnia 25-go z. m. od godziny kwadrans na szóstą wieczorem do godziny trzy kwadranse na szóstą widzieć było można gołem okiem wyraźnie znacznej wielkości kometę w stronie południowo-zachodniej miasta Krakowa. Kometa posuwał się na dół, mając warkocz zwrócony ku górze. Po godzinie trzy kwadranse na szóstą skrył się za mgły i chmury. Na razie obliczono, że błąkać się on będzie po horyzoncie do końca bieżącego miesiąca. Odkryto go dnia 16 bm. w obserwatoryum w Johannesbergu w Afryce południowej; kometa nosi nazwę „1910 a“. Jaki będzie dalszy jego bieg, na razie oznaczyć niepodobna; dotąd widziano go trzy razy w Algierze, następnie w Rzymie i Tryeście, wczoraj w Krakowie. Wzrasta on w tak zwanej „deklinacyi“, to jest w kącie liczonym od równika na

Z typów ludowych.



Górale tatrzańscy.

południku; przyrost wynosi przeszło dwa stopnie.

Nowy ten kometa nie ma żadnego związku z kometą Halley'a, który się jednocześnie pojawił. Kometa ten ma obecnie jeszcze słabe światło.

Od dawien dawna uważano pojawienie się komety za zapowiedź wojny lub wielkich nieszczęść — głodu, moru, śmierci wybitnych monarchów itd., a nawet końca świata. I monarchowie i ludzie drżeli na widok komety — dopóty nie mieliśmy teleskopów, tj. dalekowidzów, dopóki nie znaliśmy komet. I prawda, owa gwiazda z długim ogonem, niby rózgą, robi wrażenie niezwykłe — już to kształtem swoim, już też, że rzadko się zjawia.

Ale co to są komety? Są to włóczęgi niebieskie bez stałego ciała — z których jedne wracają co kilkadziesiąt lub kilkaset lat, inne się pokażą i już nigdy nie wrócą, giną gdzieś w przestworzu, wędrują bez końca. A pędzą one z szybkością ogromną, w bliskości planet, np. ziemi, ulegają ich wpływowi i bieg albo zwalniają, albo przyspieszają i tak, gdy kometa znajduje się bliżej ziemi, to pędzi na sekundę pięć i pół mili, a gdy jest w bliskości Merkurego, to jeszcze bardziej biegu przyspiesza, bo pędzi wtenczas z szybkością 9 mil na sekundę. A ileż to komet może być w świecie? Na to odpowiada uczony mąż Hepler, że jest ich tyle, ile ryb w morzu. Ów uczony nie przesadził. Wyobraźcie sobie jak wielki musi być wszechświat, w którym lata tyle komet z tak wielką szybkością i robią tak wielkie drogi, że wracają dopiero po wielu latach, albo ich powrotu całe pokolenia od lat niepamiętnych doczekać się nie mogą i nie doczekają się. Ale szybkość 9 mil na sekundę, to nie największa. W r. 1843, starzy ludzie jeszcze pamiętają, pojawił się kometa, którego ogon był 40 milionów mil długi, a szybował, gdy był w bliskości słońca, z szybkością 70 mil na sekundę, a tak świecił, że dn. 28-go lutego było go widać w jasny dzień.

Podziwiać musimy wielkość świata, a rozum go ogarnąć nie może; jeszcze więcej musimy podziwiać i chwalić Tego, który tym światem rządzi.

Uczeni patrzący na komety przez szkła przybliżające, teleskopy, podobne do luf armatnich, tylko kilkadziesiąt razy większe, a powiększające trzy tysiące razy, spostrzegli w komecie trzy części: punkt środkowy, mniej lub więcej błyszczący, czyli jądro; dokoła jądra obłoczek, wyciągnięty w długą smugę czyli ogon. Owo jądro z obłoczkiem nazywamy głową, a smugę ogonem.

Gdy tak na kometę patrzymy, to zdaje nam się, że on pędzi głową naprzód, a tymczasem bywa inaczej, czasami pędzi on ogonem naprzód, a zawsze jest ogon w przeciwnej stronie od słońca.

Jak to sobie wytłómaczyć? Jeszcze nie wiemy, co to są komety, owe włóczęgi niebieskie. Oto kometa jest to wielka mgławica, składająca się z gazów bardzo lekkich, tak lekkich, że przez kometę nawet i gwiazdy widzieć można. Gdy jest zdala od słońca, to ogona nie ma, a gdy się do słońca zbliża to jego ogon wzrasta. A to dlaczego? Bo pod wpływem słońca mgławica się rozgrzewa, rozszerza, a wydłuża się wskutek siły odpychającej słońca, coś w rodzaju siły elektrycznej, albo magnetycznej; dlatego też od słońca ogon ucieka, a nie dąży do niego.

Czy też kometa mógłby rozbić ziemię? To jest niepodobnem, bo kometa nie ma ciała stałego, jak nasza ziemia lub inne gwiazdy. Jak już powiedzieliśmy, kometa składa się z leciutkich gazów. W roku 1861 dnia 30-go czerwca musnął ogon komety ziemię, a tego nikt nie uczuł. W roku 1872 wyrzekli ludziska, że się zbliża koniec świata, bo ziemia spotka się z kometą. Już to obawy takie są płonne, bo trudno sobie wyobrazić, żeby kometa miał wpaść na ziemię; musiałby w tej samej sekundzie i w tem samem miejscu przechodzić co ziemia. Wychodzili wówczas ludzie na dwór, patrzeli na niebo, czy kometa się nie zjawi; ale nawet się nie zjawił, bo uległ zniszczeniu, rozpadł się.

Komety, zbliżające się do słońca, nabierają siły i światła i szybują dalej a dalej.

Jak na komety patrzymy z pewnym strachem tak z radością witamy gwiazdę spadającą. Gwiazda spadła!... Okiem bieg jej śledzimy i patrzymy w niebo, czy jeszcze innej gwiazdy spadającej nie spostrzeżemy — zwiastunki szczęścia? Czem są te gwiazdy? Nie są to owe gwiazdy, owe olbrzymie kule niebieskie, ale drobniutkie odłamki, szczątki ciał niebieskich, mianowicie komet. Przybywają one z bardzo daleka, miliony mil, i krążą koło słońca w całych rojach po drogach eliptycznych (spłaszczonego koła). Pędzą one z szybkością 5 mil na sekundę i szybciej.

Ciałka te nie świecą, ale gdy na ich drodze znajdzie się ziemia, to pociągnie je gwałtownie ku sobie. Wtenczas ciała wpadają do atmosfery (powietrza otaczającego ziemię) i przez tarcie z powietrzem rozżarzają się, a zabłysną i rozpryskują się od żaru. Blask ich często świetny, ale trwa tylko chwilkę.

Dział kobiecy.

Obliczenie porcyi przy zakupnie.

(Dla młodych niedoświadczonych gospodyń.)

Często słyszy się narzekające gosposie, że za wiele lub za mało do gotowania nakupiły. Uniewinnia to tylko młode i niedoświadczone, gdyż po zastanowieniu, a szczególniej po zanotowaniu sobie ile i przy jakiej liczbie osób zapotrzebowano, można łatwo wiedzieć ile czego potrzeba. Oto kilka przykładów wypróbowanych.

Gdzie większa liczba osób i jeżeli więcej dań się przygotowuje, można wszystkiego w mniejszej gotować ilości, aniżeli wówczas kiedy tylko jedno

danie ma zadowolić żołądki. Mięsa w sosie lub takiego, które się z jarzyną gotuje jak: klopsy, gulasz, fricassées, można na trzy osoby wziąć tylko jeden i ćwierć funta — bez kości, naturalnie musi być obfity do mięsa dodatek, składający się z jarzyny, ryżu, makaronu, lub kartofli. Kotletów liczono zwykle dwa na jedną osobę, przy wysokich obecnie cenach mięsa, musi często jeden wystarczyć. W małem gospodarstwie najlepiej polecić rzeźnikowi, by kawałki mięsa na kotlety podzielił na porcye; lepiej to oni umieją.

Mięsa na rosół liczy się pół funta na osobę, dwa i pół na sześć osób. Małe kiszki wątrobiane lub krwawe, po jednej na osobę, większe po pół; kiełbaski, dwie pary dla jednego. Z dużego indyka może być szesnaście porcyj, z indyczki dziesięć, kapłon wystarcza na sześć do siedmiu porcyj, pieczone kurczęta, zależy od wielkości, większe po pół na osobę, mniejsze po jednem, tak samo ze smażonemi. Gęś wystarcza na ośm, do dwunastu porcyj, kaczka dla czterech do sześciu osób; gołąbki, kuropatwy i inne mniejsze ptactwo, sztuka na osobę. Duża kura w potrawie i z ryżem, może nasycić ośm do dziesięciu osób, obłożone „kanapki“ trzy do czterech na osobę jeśli małe, jedna lub dwie duże. Dwanaście średniej wielkości kartofli liczy się na zupę dla sześciu osób, piętnaście dużych wyda „purée“ dla czworga. Obliczyć kartofle dokładnie trudno, zwykle w łupinach gotuje się więcej, bo z takich można rozmaitości sporządzać, jak sałaty, przysmażone, tarte do klusek lub knedli i t. p. Obranych kartofli nie powinno za wiele zostawać, gdyż trudno je na dłużej używać. Śledzi i małych ryb zawsze po jednej na porcyę. Kalafior jeżeli bardzo duży, wystarcza dla pięciu; z innych jarzyn mniej więcej $^1/_4$ do $^1/_2$ funta wystarczy na porcyę. Mąkę na cięższe leguminy, także ryż najlepiej mierzyć filiżanką; mąki dwie filiżanki, ryżu jedną na osobę; do zupy lub rosołu jedna filiżanka ryżu dla czworga, do kluseczek lub lanego ciasta po dwa jajka i odpowiednia ilość mąki na cztery osoby.

* * *

Rozmowa za pomocą wachlarza.

W Hiszpanii, południowej Francyi, we Włoszech, w Ameryce południowej i — we Wschodnich Indyach, wachlarz używany jest, jako niezbędny artykuł w dopełnieniu damskiej tualety, a przytem dodaje o jeden wdzięk więcej pięknej właścicielce umiejącej nim z gracyą poruszać i porozumiewać się za jego pomocą.

Oto notujemy tu niektóre zdania „wachlarzowej rozmowy“ zrozumiałej dla wszystkich osób: Otwarcie i natychmiastowe złożenie wachlarza: — „jesteś okrutnym.“ Powolne składanie; „Chciałabym z tobą rozmawiać“. Powolne zupełnie otwieranie: — „Czekaj na mnie.“ — Opuszczenie wachlarza na podłogę: „zostańmy przyjaciełami“. — Trzymanie wachlarza prawą ręką przed twarzą oznacza: „zbliż się



do mnie.“ — To samo lewą ręką: „pragnęłabym cię bliżej poznać.“ — Pociągnięcie wachlarza po czole: „Zmieniłeś się.“ — To samo po policzku: „Kocham cię.“ Prawą ręką po lewej przeciągać wachlarzem znaczy: „Nienawidzę cię.“ — Lekkie powolne wachlowanie oznacza: „Jestem mężatką.“ — Prędkie wachlowanie: „Jestem zaręczoną.“ — Gdy go się przyłoży do lewego ucha; „Chciałabym się ciebie pozbyć.“ — Do prawego ucha: „Czyś o mnie zapomniał?“ — Obracanie nim prawą ręką: „Kocham innego.“ — Lewą: „Obserwują nas.“ — Kiedy go się podaje złożonym: „Czy kochasz mię?“ — Z ruchem po oczach: „Bardzo mi przykro.“ — Trzymanie chwilę na prawym policzku: „Tak.“ — Na lewym: „Nie.“ — Trzymane dłuższe w lewem ręku: „Mam ci coś powiedzieć.“ — Powiewanie nim w powietrzu prawą ręką: „Pamiętaj o mnie.“ — Poruszanie lewą: „Chcę o tobie zawsze pamiętać“ i t. d.

* * *

Modne czarne tapety dla blondynek.

Dla pięknych pań, które uprzejmy kaprys natury obdarzył złotemi lśniącemi warkoczami, a płeć ich do róż i mleka porównywać pozwala, nadchodzi z Londynu bardzo miła wieść. Stylowo piękna jasna blondynka, niejednokrotnie staczała walkę z artystą dekoratorem o — kolor ścian, które byłyby odpowiedniem tłem dla jej jasnowłosego zjawiska. Tapety chociażby w najwyszukańszych odmianach i guście, nie zdołały jej dostatecznie zadowolić; zdawało się jej, że piękność jej jasnej postaci za mało się uwydatnia w salonach, których ściany pokryte zwykłemi dotychczas kolorami. Brunetki i piękności o cerze mieszkanek południowych sfer, łatwiej było zadowolić, bo apartamenta biało, zielono, niebiesko, żółto lub różowo udrapowane były jako uzupełnienie ich stroju uwydatniające ich wdzięki. I — oto dowód, — że przeciwna roztropność—wszystkiemu zaradzić potrafi; wynaleziono ko-

o, brakuje niewiele,

lor ścian — dla jasnych rusałek i — „umodniono“ go. Pewna ze znanych dam angielskiej arystokracyi po długich godzinach cichego rozmyślania nad tem tak ważnem zagadnieniem, postanowiła apartamenta swoje — czarno otapetować! — Dwie znane artystki-dekoratorki podjęły się oryginalną tę zachciankę urzeczywistnić. I oto zjawiły się czarne tapety o bardzo dyskretnych na nich wzorach, złotych, różowych, ale tak umiejętnie wykonanych, by tło czarne zawsze na pierwszy plan występowało. „Bo“ — jak się wyraziła, bardzo zresztą — realnie jedna z tych artystek, „biało różowe mięso“ otoczone złotemi splotami na czarnym podkładzie dopiero całą swą wartość ukazuje!“ Nowe czarne tapety są jednak — tak drogie, że wątpliwem jest, czy staną się bardzo popularnemi.

Or—ot.

Mazur.

Krzeszą żwawe parobczaki
Iskry podkówkami,
Płyną w pola mazowieckie
Śpiewki za śpiewkami.

Stara karczma aż się trzęsie,
Szumią bory w dali;
Ej, ostrożnie, parobczaki,
Bo się świat zawali . . .

Choć się cały świat zawali,
Nie będziem żałować, —
Świat zwalony, nie zgubiony
Można odbudować.

Hej, siarczyście rznij naszego,
Czyś głuchy, czyś niemy?
My, mazurskie parobczaki
Świat odbudujemy.

Jak topole nasze chłopcy,
Dziewki jak sasanki;



Przyjemne chwile.

Nie masz w świecie nad Mazurów
I nad Mazurzanki.

Choćbyś szukał przez trzy lata
Z Warszawy pod Kraków
Nie obaczysz żwawych dziewcząt,
Swarniejszych chłopaków.

Oj, ty ziemio mazowiecka,
Szczera nasza ziemio!
Pysznie wschodzą twoje zboża,
W dzisięćkroć się plemią.

Oj, ty ziemio mazowiecka
O rodzajnej glebie!
Lepiej spocząć w twojem łonie,
Niż pożegnać ciebie.

Z dziedziny hygieny.

Praca i odpoczynek.

Poważna praca jest jedynym z nieodzownych warunków zdrowia. Ten nawet, dla którego ona nie jest warunkiem bytu, powinien jej się dobrowolnie oddawać. Tylko bowiem w ruchu i ćwiczeniach rozmaitych rozwijają się siły ducha i ciała. Większa ilość ludzi okolicznościami zmuszoną bywa do pracy. Po ośmiu, dziewięciu godzinach prawdziwej pracy, u przeważnej liczby ludzi, siły bywają już wyczerpane; tak samo umysłowe jak i cielesne, gdyż umysłowa praca tak jak cielesna męczy i nuży. Niektóre rodzaje pracy, jako też godziny tejże dla małoletnich, prawnie są określone i nakazany czas spoczynku. Kto nie jest pod takim nadzorem, powinien dobrowolnie koniecznie ograniczać czas swych zajęć, ażeby dać spoczynek ciału i umysłowi. Podobne przekroczenia powodem są zupełnego wyczerpania i choroby, temu zaś zapobiedz można, umiejętnie rozdzielając czas swój na pracę i na spoczynek. Najważniejszym warunkiem jest: punktualnie zbierać się do pracy, chętnie i z silnem postanowieniem wypełnienia jej postępować, i po spełnieniu zadania, odpoczywać. Uczuwane znużenie łatwo jest zwalczyć, przerywając na pewien czas pracę, gdyż nad miarę pracując, trzeba też na dłużej później przerwać pracę. Porządek i spokój z jakim się pracuje, zapewniają prędkie postępowanie pracy i oddalają męczące rozdrażnienie.

Najlepszym spoczynkiem jest sen. Bezsenność nawet w braku zajęcia umęcza z czasem. Sen powinien podług zapatrywań najsławniejszych lekarzy trwać: u dzieci od sześciu do dziewięciu lat wieku, jedenaście godzin, od jedenastu do trzynastu dziesięć godzin, od trzynastu do czternastu dziewięć i pół do dziewięciu godzin na dobę. Najlepiej jest, urządzić się w ten sposób, ażeby o siódmej z rana, potrzebna ilość godzin spoczynku w śnie, była już za nami. Wstawanie o oznaczonej godzinie, nie przedłużanie snu nad miarę, jest prawie ważniejszem jak punktualne układanie się do snu, gdyż zapewnia na nowo zdrowy sen!

Czas nie zajęty snem lub pracą, niech służy do posilania się jadłem i rozrywkami! Umysł znużony myśląca pracą powinien być przynajmniej przez dwie godziny dziennie odświeżony. — Szczególniej zbawiennym jest ruch muszkułów na świeżem powietrzu. Długie, przyjemne spacery (nie po pełnych kurzu ulicach), praca w ogródkach około warzywa i kwiatów, gimnastyka, rower, wiosłowanie, pływanie, gra w tennisa, gry na świeżem powietrzu, w zimie łyżwowanie, na-

wet walki ze śniegiem, wszystko to jest bardzo polecenia godnem.

Obok ćwiczeń cielesnych, nie powinniśmy też zapominać o rozrywkach, duszę, umysł i serce podniecających. Takiemi są zajmowanie się sztukami pięknemi w ich tak rozmaitych gałęziach, biorąc w nich udział już to twórczy, już to obserwujący, roboty ręczne, zajmująca a zarazem kształcąca literatura również odpowiednie i dobre towarzystwo. Człowiek szukający samotności, stroniący od ludzi, ma w sobie zarodki poważnej choroby, którą zwalczyć jednak można, przebywając przeważnie w dobrem otoczeniu. Fałszywe, a często ze szkodliwemi następstwawmi połączone są rozrywki poszukiwane w lokalach publicznych, gdzie próbowanie rozmaitych trunków uprawiane jest jakby sport, z dodatkiem długiego siedzenia przy grach hazardowych, niedobrem jest też poświęcanie długich godzin na czytanie książek, których treść dostarcza ujemnego rodzaju przyjemności; ostatecznie odwiedzanie widowisk demoralizująco działających na podnieconą wyobraźnię.

Koniecznym warunkiem zdrowia jest też odpoczynek niedzielny. Niedziela i święta powinny być zupełnie, po oddaniu czci Bogu, wyzyskane na odpoczynek i rozrywki; na pierwszem miejscu, zawsze jest przebywanie na świeżem powietrzu i spacery, przebywanie w gronie rodziny, i w towarzystwie, dobra muzyka, teatra, koncerta, odczyty które również wpływ przyjemny i bardzo dodatni wywierają na zdrowie. W każdym prawie zawodzie, pożądane są też raz w roku — wakacye; jest to jakby szereg przyjemnie przepędzanych świąt i niedziel, pozwalających nowych sił zaczerpnąć do pracy i walki z bytem. Wówczas można korzystać ze sposobności dłuższych wycieczek lądem lub wodą, wówczas jednak celem powinien być zawsze wypoczynek i miłe podniecenie, często jednak niestety bywa zastąpionym bezmyślną jakąś gonitwą za upatrzonym a — bezsensownym przedmiotem.

Jeśli ma być pokój, niech będzie malowany, ale fundamentalny; bo w niepewnym prędzej zginiemy, ubezpieczywszy się, niżeli w wojnie.

Jan Sobieski.

* * *

Taki zwyczaj u nas w Polsce, że choć kto suknię na nice wywróci, to mówią, że to moda, i potem ta moda ma wielką komplacencyą u ludzi.

Jan Chryzostom Pasek.

Ślady palców przy wykryciu zbrodni.

Do najtrudniejszych zadań policyi śledczej należy stwierdzenie tożsamości danej osoby. Dotychczas poprzestawano na fotografowaniu osób, uwięzionych pod zarzutem przestępstwa lub zbrodni, co w danym razie dawało możność rozpoznania recydysty. Fotografie w dowolnej liczbie egzemplarzy można było rozsyłać po świecie i to z wszelką łatwością.

Należy nawet przyznać, że niejednego przestępcę wykryto za pomocą fotografii. A jednak procedura ta ma swoje słabe strony. Z biegiem lat każda niemal twarz znacznym ulega zmianom, nie mówiąc już o zmarszczkach nieuniknionych w późniejszym wieku, ale każde cierpienie fizyczne czy duchowe pozostawia na niej ślady, zarówno jak przypadkowe lub rozmyślne uszkodzenie, zmieniony zarost, a nawet zabiegi kosmetyczne, które mogą do niepoznania zmienić fizyognomię danego osobnika.

Dlatego też wprowadzenie pomiarów antropometrycznych przez A. Bertillona w Paryżu było już wielkim postępem na tej drodze i zdawało się, że prowadzi do zupełnie stanowczego stwierdzenia tożsamości osoby. Jednak w ostatnich czasach zaczęła wchodzić w użycie nierównie dokładniejsza metoda. Posiłkuje się ona niezmiernie delikatnemi liniami (włoskowatemi), zarysowanemi misternie na odwrotnej stronie końców palców u każdego bez wyjątku człowieka. Nader staranne i szczegółowe badania wykryły, że linie owe w ciągu całego życia pozostają niezmienione, a co najważniejsza, rysunek ich tak jest indywidualny, że w czasie kilku lat ostatnich nie natrafiono ani razu 2 osoby, u których linie te byłyby identyczne.

Dlatego też, o ile w razie kradzieży czy innej zbrodni, na miejscu przestępstwa znajdą się ślady palców na drzwiach, szybie, nożu, kasetce lub na jakimkolwiek meblu politurowanym, to te dla wykrycia przestępcy ogromne mają znaczenie.

Za pomocą specyalnego przyrządu robi się zdjęcie owych pozostawionych śladów, zarówno jak palców domniemanego przestępcy i następuje porównanie samego rysunku, poszczególnych linij i punktów, w których się one zlewają lub rozchodzą. Tożsamość linij daje się też stwierdzić za pomocą stereoskopu.

Ale najpewniejszy wynik daje bezpośrednie przyłożenie płyt fotograficznych, jednej do drugiej.

Krakowiak.

Wypłynęła Wisła
Hej! ze śląskiej ziemi. —
Falami srebrnemi.
Falami srebrnemi.
Nie dościgniesz wzrokiem —
Zginęła w przestworzu.
Wybiegła potokiem —
Znikła rzeką w morzu.

Płynie Wisła, płynie
Z pod Baraniej góry,
Kędy mgły w dolinie,
Nad górami chmury.
Lecz, gdy wiatr powionie,
Chmura wnet odleci —
W jasnem Wisły łonie
Jasne słońce świeci.

Znam już świat daleki,
Hej! znam doskonale —
Są piękniejsze rzeki,
Przezroczystsze fale.
Wisła się nie dąsa,
Nie jest im zawistna:
Szumi — śpiewa — pląsa...
Krakowianka istna.

To też, gdy w noc piękną,
Przy skrzypicy graniu,
Podkóweczki brzękną,
Tonie noc w śpiewaniu,
Gdy ozwą się basy
I grzmią aż do ranka:
Hula — pełna krasy,
Wisła — krakowianka!

Curiosum astronomiczne.

Z Rzymu nadchodzi sensacyjna, niewiarogodna wiadomość o wystąpieniu z energicznem zwalczaniem teoryi Kopernika pewnego Włocha, nazwiskiem Michaele Pittalargo.

Jest on kapitanem okrętu żaglowego, krążącego pomiędzy Genuą a Argentyną. Wśród 40 letnich wędrówek po morzach i Oceanie czynił astronomiczne obserwacye i obliczenia i doszedł do wniosku, że *system Kopernika jest oparty na*



Z kostyumowego balu.

błędnej hypotezie. Dowodzi on 1) Że ziemia nie obraca się dokoła słońca, lecz tylko dokoła własnej osi w ciągu roku o 22 i pół stopni skłaniając się to na północ, to na południe, co powoduje zmianę pół roku. 2) Że wszystkie ciała niebieskie obdarzone są własnem światłem i posiadają własną siłę przyciągania. 3) Że słońce jest o 44 razy mniejsze od ziemi (!), o czem świadczą jego zaćmienia. 4) Że księżyc ma swoje własne światło. 5) Że domniemane poruszenie się słońca w kierunku gwiazdy stałej Herkulesa, jest złudzeniem. Słońce stoi nieruchomo i tylko obraca się dokoła swej osi. 6) Że należy uważać ziemię, jako punkt obserwacyjny świata. 7) Że księżyc jest tak bliskim ziemi, że ona go swoim cieniem zakrywa i to jest powodem zaćmienia księżyca. (Ta teza nie jest zresztą nowa), 8) Że olbrzymia odległość słońca od ziemi jest bajką (!). Byłoby niezrozumiałem, aby przy takiej odległości słońce mogło pod równikiem świecić tak silnie, że temperatura dochodzi do 45 stopni Celsiusa, a przy biegunach tak słabo, że panują tam wieczne lody, mimo, że różnica długości promieni słonecznych jest nieznaczna.

Wobec niezliczonych dowodów ściśle matematycznych prawdziwości teoryi Kopernika i jego następstw, fantastyczne twierdzenia Pittalarga wydają się tylko curiosum astronomicznem.

Prawda wszystko zwycięża, a uzbrojony nią człowiek mocniejszy jest nad ogromne wojsk zastępy. Można wyroki prawdy na ogień skazać, ale gdy się raz w sercach ludzkich zajmie, żadna moc wytępić jej nie zdoła.

Hugo Kołłątaj.

* * *

List miłosny.

(Humoreska).

Niewiem czy widziałam kiedy w życiu radość i szczęście, równające się szczęściu dziewczyny, która przyszła do mnie, żeby się pochwalić.

Sąsiadka moja ma „pomocnicę“ (broń Boże sługę); ona to nabrawszy do mnie szczególnego zaufania, przybiega nieraz i zwierza mi się ze swych radości lub zmartwień, prosząc o rady, gdyż jak powiada — pani jej nie rozumie się na niczem, tylko na liczeniu pieniędzy.

Ta więc mniej — realistyczna osóbka w sam dzień Nowego Roku, otrzymała list — miłosny — nie mający dotychczas równego — w zbiorach tego rodzaju. Treść tegoż przepełniła ją takiem wzruszeniem — że „dusza jej prawie wyrywała się z ciała,“ a że jej chlebodawczyni i na tem się nie rozumie, przeto przyszła z tem do mnie,—bo inaczej byłaby chyba „zemglała“ tak się okrutnie cieszyła, a kiedy powiedziałam jej, że list ten wart tego, by był drukowanym, rozpłynęła się we łzach, wyrażając szczere zapewnienie — że jeszcze takiej mądrej, jak ja, nie widziała. (Pierwsza to osoba niestety, która się na mnie poznała!!) Ale do rzeczy. Oto list:

Kochana panno!

„Co się tyczy początku mego listu, to doprawdy nie wiem od czego mam zacząć, bo — bo miłość jest to takie uczucie ludzkiego rodzaju, które jeżeli dotknie dwa serca naraz — to jest bardzo łatwo dać sobie w tem rady, ale jeżeli jedna strona nie wie czy druga chce — to jest bardzo trudna rzecz mówić o tem. Ale do rzeczy. Inny, możeby pannie to wszystko powiedział, bo dla czego nie, jeżeli się ma uczciwe zamiary, ale ze mną to jest inaczej, jestem wychowany w małem mieście, przez uczciwych rodziców, takie ciche stosunki familijne i chów bydła. Ale do rzeczy. Panna pewnie także wiesz co uczciwy syn w takich okolicznościach ma robić, bo twoi państwo rodzice, chociaż tylko matkę miałaś, także nie mieli we familii żadnych radców, ani doktorów, jak się dowiedziałem mieliście tylko kozy i sprzedawali od nich mleko na targu, moje otoczenie nie było lepszem, bo co mówią krowy, to panna wiesz najlepiej. Pewnie panna przypomni sobie, tego szykownego pana, który przed sześciu laty na wieczorku tak dużo z

panną tańczył i częstował cię jakieś się grzała białem winem razem z twoją przyjaciółką, a potem kupił ci jeszcze dwa ciastka z kremem, nie chcę tego wymawiać, broń Boże, bo chętnie się traci, jeżeli się kocha. Ten sam pan pisze teraz do panny, bo już od pierwszego razu okazało się uczucie w mojem sercu, które nie może byc czem innem tylko miłością, może panna masz to uczucie, to powiedz szczerze, zresztą pewnie już bardzo pragniesz być w innym jak w panieńskim stanie. Mój los jako pańskiego stangreta pozwala mi na to, że mogę się do tego przyczynić, a chociaż nie mam żadnych skarbów, które bym ci mógł ofiarować, ale mam dobre utrzymanie, a panna wcale nosa do góry drzeć nie potrzebujesz, bo jesteś też tylko dziewczyną do wszystkiego. A więc jeżeli możemy się zadowolić, co nam brakować będzie!

„Moi państwo potrzebują właśnie kucharki, a że się też dobrze zdarza, że panna dobrze umiesz gotować, to się dobrze zdarzyło, że właśnie ja jestem doskonałym eleganckim stangretem, który nawet jak panna widzi umie bardzo bez błędu pisać, moi rodzice chcieli, żebym został adwokatem, ale ja już taki uczciwy jestem, że wolę końmi kręcić jak ludźmi, więc zostałem stangretem, ale chociaż należę do służących, nie wiele sobie z moich państwa robie, bo zawsze do nich plecami jestem obrócony, na koźle, i zresztą zajmuję się tylko mojemi końmi, a gdybyś panna jeszcze chciała do nich należeć, tobym wiedział, że mam żonę, która umie dobrze gotować, a ja będę wiedział, gdzie mogę wolne godziny z moją muzą przebywać, bo panna pewnie się znasz na poezyi i najlepsze kawałki w kuchni przygotujesz dla swego ślicznego małżonka? Gdybyś panna miała zaszczyt bliżej mnie poznać, to wiem, że ani minuty byś się nie namyślała, tylko wyskokiem chciałabyś należeć do tych istot, które kocham i szanuje. A więc uznaj zamiary bardzo szczerego i otwartego człowieka, który oczekuje od ciebie odpowiedzi pełnej szacunku i wzruszenia. A gdy będziemy mieć skromną przyszłość pełną zadowolenia i ze dwoje dzieci, nic nam więcej brakować do szczęścia nie będzie. Zostaję w pięknej nadziei twój kochany *Edward Dzboński*, ul. N. nr. 102. — Postskriptum: kocham cię na wieki wiernie“.

W uzupełnieniu opisu tego szczęścia, dodaję, że zapytana Joasia co zrobić zamierza, odpowiedziała — odpiszę mu tylko „postkriptum“ tj. kocham cię i wierna jestem i chcę zostać twoją żoną, a co się tyczy jedzenia i — muzy — to wszystko będzie w porządku.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 6-go lutego 1296 zabicie w Rogoźnie Przemysława. — 1582 Polacy ustępują z pod Pskowa. — 1633 koronacya Władysława IV. — 1831 manifest Mikołaja z powodu detronizacyi.

Dnia 7-go lutego 1580 Stefan Batory zaprowadza cenzurę na dzieła historyczne. — 1596 sejm nadzwyczajny. — 1707 zjazd w Lwowie ogłasza za nieważną abdykacyą Augusta II.

Dnia 8-go lutego 1576 Stefan Batory zaprzysięga pacta conventa. — 1698 prymas Radziejowski urządza zjazd w Łowiczu. 1813 śmierć Tadeusza Czackiego. — 1831 sejm tworzy ustawę konstytucyjną.

Dnia 9-go lutego 1135 zrabowanie Wiślicy przez Rusinów. — 1454 zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Austryaczką. — 1649 bitwa z Kozakami pod Mozyrem.

Dnia 10-go lutego 1321 ogłoszenie wyroku na Krzyżaków. — 1404 Krzyżacy wpadają do Litwy. — 1564 pożar Częstochowy. — 1574 orędzie Henryka do stanów. — 1640 sejm waruje przywileje szlacheckie. — 1792. śmierćć Andrzeja Zamoyskiego.

Dnia 11-go lutego 1408 śmierć Jakóba Plichty, biskupa wileńskiego. — 1579 wjazd do Grodna Stefana Batorego. — 1646 uroczysty wjazd do Gdańska królowej Ludwiki. — 1658 sejm nadzwyczajny.

Dnia 12-go lutego 1386 wjazd do Krakowa Władysława Jagiełły. — 1609 zdobycie Parnawy. — 1628 stracona ze Szwedami bitwa pod Górznem. — 1706 rozprawa ze Szwedami pod Wschową. — 1796 śmierć Stanisława Poniatowskiego.

Humor i satyra.

Z motywów sielskich.

Zaloty.

Siedzi Jagna na progu
I kartofle obiera,
Przyszedł do niej parobek,
O, flirtownik przechera!

Jak ją wyciął w kark pięścią,
Aż stęknęła dziewczyna...
— Odyńdź, chłopie przeklęty,
To ci z niego gadzina!

I cisnęła kartoflem:
W sam nos Wojtka trafiła,
Aż mu tęgo posiniał
I krwi poszło też siła.

Dziewczę śmieje się, rade,
Że zrobiło ten figiel:
— Będziesz teraz miał chłopie,
Nos spłaszczony kiej tygiel.

Wojtek konew wziął z wodą
I zlał Jagnę do nitki...
I tak trwa flirt niewinny
I młodzieńcze te zbytki.

Zdala patrzą się starzy:
O, brakuje niewiele,
Kiej tak z sobą figlują,
Pewno będzie wesele.

* * *

Jeszcze nie.

Na lekcyi nauczyciel dyktuje: ...„wpadli do Włoch, wymordowali kobiety i dzieci,“ a spostrzegłszy, że jeden z uczniów, zamiast pisać, dokazuje, zwraca się do niego i zapytuje: —

Dąbrowski, masz już „dzieci“?

Dąbrowski (zmieszany). Jeszcze nie, panie profesorze!

5)

Zaręczyny panny Feli.

Napisała E... B...

(Ciąg dalszy).

— Tego pani powiedzieć nie mogę; — powiedzieć nie mógł, bo sam nie wiedział, jak sobie z Mośkiem poradzi. To tylko wiedział, że jeden Mośko może go ratować.

Młodzi ludzie szli zwolna ku domowi.

Na bocznym balkonie siedział sobie okrągły i rudy Mosiek, wygodnie oparty o balustradę; w ręku trzymał piękną, cielistego koloru lewkonię, i zdawał się napawać jej wonią, bo co chwila do nosa ją przytykał.

— Jak się pan Mośko ma? — krzyknął Henryk.

Mośko poważnie głową skłonił.

— Chwała Bogu dobrze.

— Panie Mośko proszę zemną, mam interes do Mośka — i pan Henryk wszedł szybko na schody, za nim potoczył się żyd patrzący z pod oka. Przeszli tak kurytarzyk i weszli do bocznego pokoju, w którym zwykle stał Henryk, gdy tu przyjeżdżał.

— Proszę siadać Mośku — poprosił grzecznie Mioski.

Mośko usiadł, a Henryk chodził zamyślony i zły, raptem stuknął się palcem w czoło, uśmiechnął sam do siebie, zbliżył się do drzwi, nieznacznie na klucz zamknął i klucz wsunął do kieszeni. Mośko choć trochę zaniepokojony, nie zobaczył tego.

— Proszę mi powiedzieć kochany Mośku — rzekł, stając przed nim Mioski — zkąd wziąłeś tak dokładne wiadomości o moich długach?

— Ja nic nie wiem.

— Głupstwoś kochanku zrobił, trzeba było do mnie przyjść i zapytać, byłbym prawdę powiedział i jeszcze dodał: Mosiu kochanie ratuj, a Mosio kochanie w donosiciela się bawi, małżeństwa zrywa!... Nie chcesz tańczyć na mojem weselu, to potańcz-że teraz Mosiu kochany! — zawołał nagle p. Henryk, porwał żyda za obie ręce i puścił się z nim młynka, jak to dzieci robią. Żyd tłusty, ale bezsilny nie mógł się oprzeć silnemu, wygimnastykowanemu młodemu człowiekowi.

— Panie ja umier if, if! — krzyczał nieszczęśliwy — if, eh!

— If! eh! — powtarzał Henryk i dalejże w kółko — if, if!... no a teraz na lewo — i zakręcił żydem, jak piłką.

— Ja dzietny, woni osirotną — krzyczał żyd — rozbój gwałt!

— Krzycz, nie krzycz, nikt nie usłyszy.

— If, if gwałt!

— If, if gwałt — powtarzał, przedrzeźniając Henryk i młynek w coraz szybszy takt wpadał. Mośko biegał, jak w deptaku, aż krople potu spływały mu z czoła.

— Dosyć — krzyknął Henryk, i Mośko bezprzytomny padł na kanapkę.

— Brr... Mośku najdroższy, a toś mnie zmęczył — i młody człowiek otworzył okno, wziął ze stolika wodę kolońską i prysnął nią na żyda.

— Gwałt, krew ją umrzy, uf, ohi — jęknął nieszczęśliwy, zamykając oczy. Henryk za każdym wykrzyknikiem pryskał coraz silniej, wreszcie Mośko opamiętał się, zaczął nosem prychać i wąchać.

— Jeszeze tegie — prosił omdlewająco. Po chwili Mośko przyszedł do przytomności. Przed nim stał Henryk z buteleczką wody kolońskiej w ręku, z miną surowego sędziego.

— Nie chciałeś tańczyć na mojem weselu, wytańcowałeś się walczyka zacny Mośku.

— Panie, tak się nie godzi, ja stary człowiek.

— No godzi się, czy nie, to mniejsza, teraz ochłonąłeś, więc pogadamy o interesie. Mośko westchnął cicho, bał się słówko wymówić, jeszcze mu przed oczyma tańczyły ściany pokoju, a wołać o ratunek napróżno; wiedział, że w tej stronie domu nikt nie usłyszy, więc z rezygnacyą czekał.

Interes, o którym miał mówić Henryk, był tego rodzaju: Chciał pożyczyć od Mośka jakąś dużą sumę na ogromne procenta, tem spłacić co głośniejsze i pilniejsze długi. Prócz procentów miał wiele innych korzyści otrzymać pan Mosiek, a za to powinien był po pewnym przeciągu czasu odraportować swemu panu, że Mioski długi spłaca.

Mośko wahał się, zyski widział ogromne, ale swego starego wspólnika do złego geszeftu wciągnąć się wzdrygał. Czterdzieści lat stało za nim. Korzystał-ci on wprawdzie jawnie i pokryjomu, jednakże szkody wielkiej swemu panu nigdy nie wyrządził, nigdy nie wciągnął do złego interesu. Tu zaś pewny był, że cały majątek pana Głockiego jego wesoły zięć zmarnowałby; walczył żyd z sumieniem swojem i chęcią zysku. Tłumaczył sobie, że tym sposobem usłuży życzeniom swego pana, którego tyle kosztowało rozstanie z projektem tego małżeństwa dla córki, a zresztą kto tam może wiedzieć, może nie straci, może się ustatkuje, a on Mośko zyska.

— Widzisz panie Mośku interes dla mnie nie tęgi, a dla ciebie świetny, jak raz zasłużysz się u mnie, takiś sprytny, zawsze będziesz mi potrzebny, za twoje usługi wiesz, że będziesz wynagrodzony. Teraz decyduj się, a może chcesz walczyka, choć mnie ten taniec trochę męczy, chodź drogi mój, to ci myśli rozjaśni.

Mośko cofnął się przerażony. Sumienie zostało oczyszczone, poddawał się gwałtowi.

— Ja tegie nie chcę, niech pan tegie nie robi.

— No to kończmy interes — niecierpliwie zawołał Mioski. — I interes został ułożony naprędce. Mośko, który miał tysiąc w banknotach przy sobie, wyliczył je Henrykowi, nie biorąc na to nawet żadnego zapewnienia, bo żyd wiedział, że Mioski choć marnotrawca i gracz, nie wyprze się wziętych pieniędzy. Był o to spokojny. Nazajutrz miano się o wszystko lepiej umówić, a pan Henryk w najsłodszym humorku poszedł do salonu, gdzie jak się tego spodziewał, zastał matkę mocno zirytowaną, a panią Głocką rozpłakaną.

— Henri — wykrzyknęła pani Mioska — gdzieżeś był biedne moje dziecko, ty nie wiesz, co cię spotkało!

Henryk ruszył ramionami.

— Wiem, domyślam się, lecz mało mnie to obchodzi, bo wkrótce mam nadzieję, być nazwanym: drogim, kocha-

nym zięciem, cher gendre — zwrócił się do pani Głockiej. Poczciwa kobieta aż się rozczuliła.

— Tak, pan hrabia dla mnie w każdym razie będzie cher gendre.

— Co to za wiadomość o mojem hrabstwie? — zapytał, śmiejąc się Mioski.

— Ach tę tajemnncę odkrył nam Brzózki, kamerdyner — dodała z emfazą.

— Taak! winszuję pewnych wiadomości.

— Henryku zostaw te niewczesne żarty, a każ zajeżdżać karecie.

— Nie mam czem się martwić droga mamo, przykro mi, że mama to tak tragicznie bierze.

— Panie Głocki — zwrócił się Henryk do wchodzącego pana domu. — Pospieszyłeś się pan z wydaniem wyroku na mnie, zapominając, że miałem lat dziewiętnaście, gdy po śmierci mego ojca zostałem panem dużego majątku, i wciągnięty przez fałszywych przyjaciół, straciłem co prawda dużo, lecz za winy pierwszej mojej młodości nie wysłuchawszy tłumaczeń, nie wglądając bliżej w stan interesów, opierając się tylko na lada jakich danych karać mnie, to za ostro. Dziś spłacam długi, choć się z tem nie chwalę, bez posagu córki pana, na który nie rachowałem, bo takie rachunki, ani w moim charakterze, ani w tradycyach rodowych moich — umilkł wzruszony i smutny.

Matka patrzyła z uwielbieniem. W postawie Henryka było tyle szlachetności, taka prawda w głosie brzmiała. Pan Głocki zmięszał się. Owo spłacanie długów bez posagu, utkwiło mu w myśli, a nuż prawda; zaczął się tłumaczyć.

— Panie Henryku drogi, ja przeciw panu nic więcej nie mam, tylko boję się narazić moję córkę na biedę, a ciężko zarobionego grosza, na stratę.

— Panna Fela, której serce należy do mnie — rzekł Henryk z naciskiem — ostrzegła mnie o tej zmianie usposobień szanownego pana i mam honor powiedzieć, że dla dowiedzenia się o moich długach, wprost mnie trzeba było zapytać, nie zaś robić jakieś pokątne śledztwa, które często są mylne. Przykrość, na jaką naraziłem moję matkę, postępowanie niezręczne pana, wszystko to razi mnie i boli, lecz pan jesteś ojcem osoby, którą zbyt kocham, abym mógł o tem zapomnieć. Pamiętaj pan, że przyjdzie chwila, w której będziesz żałował swego pospiechu, kto wie czy nie zapóźno, czy żal nie będzie silniejszy, jak miłość.

Odetchnął głęboko, ta rola wspaniała męczyła go, przygryzał wąsy, aby się nie roześmiać, tak sam sobie śmiesznym się wydał. Pani Głocka inaczej to wzięła, uchwyciła męża za rękę.

— January — zawołała tym razem po polsku — cofnij nieszczęsne słowo, ty los dziecka zagradzasz.

Głocki zmarszczył brwi.

— Nic gorszego, jak kiedy baby do interesów się mieszają — burknął do żony. — Panie Henryku, posłuchaj, to moje ostatnie słowo: Jak zobaczę, że się ustatkujesz, długi zaczniesz płacić, a nowych nie robić, to masz Felę i z posagiem, i z wyprawą sutą; jesteście młodzi możecie poczekać trochę.

Pani Mioska powstała.

— Mocno obowiązaną się czuję — rzekła z jakąś ironiczną powagą — za tak łaskawe względy. Minęły już czasy Jakóba i Racheli, i dziś nikt na takie warunki, kto czuje własną godność, nie przystanie. Zresztą ojciec Racheli to był Laban a tamten Jakób: maleńka dyferencya. — I pożegnawszy zimno, ale bardzo grzecznie pp. Głockich wyszła, z asystencyą pokornego gospodarza domu i zrozpaczonej jego żony. Pan Henryk zatrzymał się chwilę, bo zobaczył maleńki paluszek, który mu przez wpół otwarte drzwi, rozmaite znaki dawał.

— Nieoceniony z pana człowiek — zawołała Fela — ślicznieś pan mówił, dusiłam się ze śmiechu, jakoś to się ułoży.

— Czy pani myśli, że takie postępowanie mnie nic nie obchodzi?

— Owszem, no ale co tam długo gadać, nas łączy nie tylko uczucie, ale i wspólny interes, dlatego nasz maryaż trzeba doprowadzić do dobrego końca. Będę pisać do pana. Au revoir.

— Au revoir — i po nader czułem pożegnaniu pan Henryk podążył za matką.

* * *

Zaledwie powóz wyjechał z bramy dziedzińca, pani Mioska z gniewem zwróciła się do syna:

— Jak mogłeś narazić mnie na podobną awanturę, jak śmiałeś to zrobić!

— Przepraszam mamę, 1-o nie spodziewałem się takiego zakończenia, 2-o tonący brzytwy się chwyta, a my toniemy z temi długami. Zresztą to się naprawi i stary resztę czupryny oberwie z rozpaczy, i sam mnie będzie awansy robił. — I pan Henryk w kilku słowach opowiedział matce układy z Mośkiem, nie wspominając wszakże o młynku.

Pani Mioska zaczęła się śmiać szyderczo:

— Więc za protekcyą Mośka masz wrócić do tych ludzi, qui n'ont pas de nom, do tych ludzi, co twojej matki uszanować nie umieli, qui m'ont insulté. Ty się zapominasz, jak ci nie wstyd?!

— Nic mi nie wstyd i nie wiem czego; mam długi i żenię się bogato, nic naturalniejszego, ale papa ma rozum, więc boi się oddać swoje pieniądze w tak niepewne ręce; co tam tak tragicznie rzeczy brać, tymczasem natrafił na sprytniejszego od siebie, i koniec końców, kapitały Głockiego będą tańczyć w mojej kieszeni.

— Ja ci nie pozwolę, ja z tymi ludźmi nie chcę nic mieć wspólnego. Co to za ludzie!... Dom niby na takiej stopie, a jedzenie ze starą omastą, czuję się prawdziwie chorą! będę musiała wezwać lekarza, tak mnie uraczyli; biedacy, oni smaku nie mają, przyzwyczajeni do starej słoniny ze skąpstwa coś okropnego dali, myśleli, że nie uczuję tak, jak oni, jestem zupełnie chora. Tak, c'est une famille monstrueuse, to są ludzie de l'autre monde. Ci rodzice, o Boże jacy głupi, a panna bez taktu, choruje na mądrą. Nie, nawet za miliardy, nie pozwalam.

Pan Henryk milczał; wiedział, że matka wygadać się musi, a potem stanie się, jak on zechce. Po chwili milczenia pani Mioska zaczęła już spokojniej:

— Jest panna Leontyna W., to dobra partya.

— Brdzo dobra, tylko panna dziesięć lat starsza odemnie, brzydka i ma rozum, więc za mnie nie pójdzie.

Matka innego była zdania. Więc po długich debatach stanęło na tem, że Henryk miał rozpocząć nowe konkury, a w razie nie udania się, matka nie powinna była sprzeciwiać się jego małżeństwu z Felą, bo Henryk był pewny, że się na tem skończy.

* * *

Po wyjeździe gości burzliwa scena miała miejsce u państwa Głockich. Pani czerwona, jak piwonia padła na fotel, rozrzucając szerokie poły swej białej mantyli.

— Ja tego nie przeżyję, tu z tym grubianem przyjdzie umrzeć, coś ty najlepszego zrobił? Oh smutku mój smutku! — zawodziła.

— Com zrobił, tom zrobił, nie wtykaj babo nosa do interesów — wrzasnął Głocki.

(Dokończenie nastąpi.)

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

Około godziny dziesiątej zjawił się obok automobilu jakiś kabriolet, który oddalił się następnie przez dolinę Bouzanne na południe. Zauważono, że koło woźnicy, siedział inny człowiek.

Automobil zaś udał się w przeciwną stronę, na północ, w stronę Issoudun.

Z łatwością Izydor odnalazł właściciela kabrioletu, lecz tenże nie umiał nic powiedzieć, jak tylko tyle, że wynajął kabriolet i konia jednemu panu, który następnego dnia ekwipaż odwiózł.

Wreszcie wieczorem Beautrelet doszedł do przekonania, że automobil jechał prosto do Issoudun i w stronę Orleanu, to znaczy, w stronę Paryża.

Z tego wszystkiego wnosić było można, że ojciec jego stary Beautrelet znajdował się ukryty w tej okolicy. Widocznie przewieźli go do jakiegoś miejsca, które już naprzód przeznaczone było.

— Miejsce, w którem uwięziono ojca, znajduje się więc nie daleko odemnie, mówił sobie Beautrelet, może o dziesięć mil lub piętnaście w okrąg, a ojciec wyczekuje mnie, abym go uwolnił. Jest blizko. Oddycha tem samem, co ja, powietrzem.

Zaraz więc zabrał się do poszukiwań. Wydobywszy kartę sztabową, podzielił miejscowość na okręgi, które zwiedzał od wsi do wsi, rozpytując wieśniaków, rozmawiając z nauczycielami, z burmistrzami, z proboszczami, wypytując kobiety. Zdawało mu się, że postępując w ten sposób prędko dojdzie do celu. Cel jego rozszerzył się, już nie tylko ojca szukał, miał bowiem nadzieję, że odnajdzie tych wszystkich, których Lupin uprowadził: Rajmundę de Saint-Véran, Ganimarda, Sherlocka Holmesa i wielu, wielu innych, a dotarłszy do nich, wejdzie w sam środek fortecy Arsena Lupin, do tego niezbadanego ukrycia, gdzie prawdopodobnie przechowywał skarby kradzione.

Lecz po dwóch tygodniach bezowocnych poszukiwań, zapał jego zmniejszył się znacznie, i prędko stracił zaufanie. Dojście do jakiegoś celu stawało mu się z dnia na dzień bardziej nieprawdopodobne. Mimo, że nie zaprzestał dalszych poszukiwań, byłby się sam wielce zadziwił, gdyby był na jakiś ślad natrafił.

Dnie schodziły monotonne, nie przynosząc żadnych zmian. Czytając gazety, dowiedział się, że hrabia de Gesvres z córką wyjechał do Nicei, dowiedział się również, że Harlington został wypuszczony na wolność.

Następnie przeniósł się w inną okolicę. Był dwa dni w okolicy la Châtre, dwa dni w Argenton. Ten sam rezultat. Chciał sprawę uważać za przegraną. Widocznie kabriolet, którym ojca jego wywieźli, stanął na jakim popasie, skąd innym jechał dalej. Tak więc dociec nic nie było można, a Bóg wie w jakiej okolicy znajdował się nieszczęśliwy.

Myślał już o wyjeździe.

Gdy tymczasem jednego poniedziałku rano zadrżał, ujrzawszy adres na kopercie jednego z listów, które mu z Paryża przysyłano. List był niefrankowany. Takie wzruszenie go ogarnęło, że przez kilka minut nie mógł się zdecydować na otwarcie go, aby nie doznać zawodu. Ręce mu się trzęsły. Czyż to możliwe? Nie była to jaka zasadzka, zgotowana przez piekielnego wroga?

Rozdarł kopertę. Byłto list od ojca, własną jego ręką pisany. Pismo to posiadało wszelkie właściwości tak mu dobrze znane.

Czytał:

„Czy dojdzie do rąk twoich te kilka słów, mój sy-
„nu? Śmiem powątpiewać.

„Całą noc, w której mnie uprowadzono, jecha-
„liśmy automobilem, rano zaś końmi. Nie mogłem nic
„widzieć, gdyż miałem przewiązane oczy. Sądząc z we-
„getacyi parku, zamek, w którym mnie zamknięto, musi
„znajdować się w centrum Francyi.

„Na drugiem piętrze znajduje się mój pokój o
„dwóch oknach, z których jedno, prawie że zarosłe gli-
„cynią. Po południu wolno mi w pewnych godzinach
„przechadzać się po parku, lecz pod takim dozorem,
„który na sekundę nie traci mnie z oka.

„Na wszelki przypadek piszę do ciebie ten list,
„który przywiążę do kamyszka, Może, w który dzień
„uda mi się przez mur przerzucić, a jaki poczciwy
„wieśniak podniesie.

„Lecz nie kłopocz się o mnie. Obchodzą się ze mną
„z wszelkiemi względami.

„Całuję cię twój ojciec, który cię bardzo kocha, a
„który martwi się, że sprawia ci przykrość.

Beautrelet“.

Izydor obejrzał kopertę, stempel pocztowy był Cuzion, Indre.

Indre! Jest to ten właśnie departament, w którym bobruje od tygodni całych.

Zajrzał do przewodnika, który zawsze nosił przy sobie. Cuzion, obwód Eguzon... I w tej okolicy był także!

Dla wszelkiej ostrożności zmienił swoją powierzchowność. Przebrał się więc za rękodzielnika i udał się w stronę Cuzion. Jest to mała wioska, nie będzie mu więc trudno odnaleźć człowieka, który list zaniósł na pocztę. Okoliczności sprzyjały mu.

— Dopytujesz się, kto oddał list na pocztę w ostatnią środę? spytał burmistrz poczciwy mieszczanin, do którego udał się Beautrelet... Czekaj, zdaje mi się, że będę ci mógł dać bliższe szczegóły... W sobotę rano przyszedł do mnie ojciec Charel ślifierz, który objeżdża wszystkie targi w okolicy, i spytał się: „Panie burmistrzu, czy list bez znaczka pocztowego dojdzie?“ — „Naturalnie“ — Dojdzie do rąk przeznaczonych“ — „A jakże, trzeba tylko przy odbiorze coś dopłacić“.

— Gdzież ten człowiek mieszka? — spytał Beautrelet.

— Mieszka o tam... na wzgórzu... w domku obok cmentarza... Czy mam iść z panem?

Chałupka ta stała samotnie w środku ogródka. Gdy

do niej wchodzili, z psiej budy wyleciały trzy sroki, lecz pies nie odezwał się, nie zaszczekał.

Beautrelet zdzwił się. Podszedł bliżej. Pies leżał na brzuchu, z wyciągniętemi łapami, nieżywy.

Pospiesznie wpadli do domu; drzwi były otwarte.

Weszli. W głęby izby nizkiej i wilgotnej, na słomie, na ziemi leżała postać człowieka w ubraniu.

— Ojciec Carel, wykrzyknął burmistrz... czy on także nie żyje?

Ręce miał biedak zimne jak lód, twarz trupiobladą, lecz serce biło jeszce słabo i wolno, zaś na ciele nie miał żadnej rany.

Starali się go przywrócić do życia, lecz gdy nie mogli go w żaden sposób ocucić, Beautrelet pojechał szukać lekarza. Również lekarz nic na to nie poradził, a chory, zdawało się, nie miał żadnych cierpień. Możnaby powiedzieć, że spał tylko, lecz snem sztucznym, jak gdyby był uśpiony za pomocą jakiego narkotyku, lub hypnozy.

Beautrelet czuwał nad nim, to też następnej nocy zauważył, że oddech stawał się silniejszy, i ciało ożywiało się, jak gdyby wyrywało się z jakichś niewidzialnych więzów.

Wcześnie rano obudził się i zabrał się do swojch zwykłych czynności, jadł, pił, poruszał się. Lecz przez cały dzień nie mógł odpowiedzieć na pytania młodego człowieka, słowa wyrzeczone nie były przez mózg zrozumiane.

Następnego dnia zapytał się Izydora:

— Co pan tu robisz, panie?

Pierwszy raz zapytał, zadziwiony, obecnością obcego człowieka.

Powoli odzyskał całą przytomność umysłu, rozmawiał, robił plany, co do swoich podróży. Lecz, gdy Beautrelet zapytał, co zaszło przed jego snem, nie umiał mu odpowiedzieć.

I Beautrelet widział po wyrazie twarzy, że rzeczywiście nie rozumie. Zapomniał wszystkie zdarzenia od piątku wieczora. Opowiadał co robił rano, co robił po południu, jakie interesa załatwił na targu, co jadł w oberży. Potem... potem... nic sobie nie przypominał. Myślał, że przebudził się następnego dnia.

Dla Izydora Beautrelet, był to wielki cios. Prawdę miał tak blizko. Oczy tego człowieka widziały mur, za którym ojciec jego był uwięziony, ręce te trzymały ów list, i mogły były wskazać w którem miejscu ów list podniosły. I od tego człowieka, który mu mógł tyle powiedzieć, nie miał wydobyć najmniejszego słówka.

Oh! Beautrelet poznał w tem całem zajściu rękę Arsena Lupin! On tylko mógł razić częściową śmiercią człowieka, którego świadectwo mogło mu być nie na rękę. Beautrelet był pewien, że Lupin nie wie o liście, który został przez mur wyrzucony, gdyż umiałby w inny sposób zaradzić, lecz musiano mu dać znać, że więzień stara się porozumieć na zewnątrz. W ten sposób usunął możliwe oskarżenie tego przechodnia. Nikt więc teraz nie wiedział, że za temi murami znajduje się więzień, który oczekuje wybawienia.

Czy nikt? Beautrelet wiedział. Lecz ojciec Charel nie mógł mówić! Ale można dowiedzieć się dokąd na targ jechał i jaką drogą wracał. Może w ten sposób do czego dojdzie...

Aby nie wzbudzić podejrzenia, Izydor nie odwiedzał więcej ojca Charel. Dowiedział się tylko, że w piątek odbywa się targ w Fresselines, oddalonem o kilka mil. Można było dostać się tam dotąd traktem, lub też polną drogą o wiele bliższą.

W piątek więc wybrał się traktem do Fresselines, lecz po drodze nie zauważył żadnego muru, ani sylwetki starego zamku.

Zjadł więc śniadanie w oberży przy rynku i chciał już wracać do domu, gdy spostrzegł ślifierza Charel, popychającego swój wózek. Zaczął go więc śledzić, lecz w znacznej odległości.

Szlifierz załatwiwszy swoje sprawy i naostrzywszy kilka tuzinów noży, wracał do domu, lecz zupełnie inną drogą, która prowadziła do Crozant i do Eguzon.

Beautrelet szedł za nim. Lecz nie upłynęło pięciu minut, gdy spostrzegł, że nie on sam tylko śledzi poczciwca. Jakieś indywiduum szło między nimi, które stawało, gdy szlifierz stanął, a szło dalej, gdy tenże się ruszył.

— Czuwają nad nim, pomyślał Beautrelet, chcą się zapewne przekonać, czy nie stanie pod murami...

Serce mu biło. Stanowcza chwila nadchodziła.

Wszyscy troje szli jeden za drugim, i tak doszli do Crozant, znanego ze wspaniałych ruin swego zamku. Szlifierz Charel zatrzymał się tam przez godzinę. Następnie zeszedł do rzeki i przeszedł most.

W tejże chwili stało się coś, co zastanowiło Izydora Beautrelet. Nieznajomy nie przeszedł mostu. Stanął, patrzał za szlifierzem, a gdy go stracił z oczu, skręcił w bok na ścieżkę.

Co robić? Beautrelet wahał się; zdecydował się wreszcie iść za nieznajomym.

— Przekonał się, pomyślał Beautrelet, że Charel jechał prosto do domu. Jest więc spokojny i wraca. Dokąd? Do zamku?...

Przeczuwał, że dochodził do celu. Człowiek przeszedł przez ciemny lasek i wyszedł znowu na pole.

Gdy Beautrelet, idąc za nim z lasku wyszedł, zdziwił się nie ujrzawszy nieznajomego. Szukał go wzrokiem, lecz w tem tłumiąc okrzyk, cofnął się czemprędzej w las, chowając się za drzewa. Po prawej stronie bowiem zauważył wysoki mur, za którym można było dostrzedz zabudowania.

To tam! To tam! Te mury więziły jego ojca! Znalazł wreszcie miejsce, w którem Lupin osadził swoje ofiary!

Nie śmiał się prawie ruszyć ze swego ukrycia. Powoli więc, czołgając się na prawo dotarł na wierzchołek wzgórza. Mur w tem miejscu jeszcze był wyższy, mimo to zauważył dach zamku w stylu Ludwika XIII, nad którym wznosiły się wieżyczki w kształcie kosza, z pośród których sterczała jedna wieża bardzo wysoka i śpiczata.

W ten dzień Beautrelet nie robił dalszych kroków. Musiał się namyślić i zastanowić, jak postępować, aby żadna czynność nie zależała od przypadku. Wrócił więc do domu.

Przechodząc przez most, napotkał dwie wieśniaczki, które zapytał:

— Kobietki, jak nazywa się ten zamek tam... za lasem?...

— Nazywa się, panie, Aiguille (igła).

Rzucił to pytanie nie przywiązując do niego żadnego znaczenia. Odpowiedź odebrana wstrząsnęła nim.

— Zamek Aiguille... Ah!... a gdzież się znajdujemy? w departamencie Indre?

— Ależ nie. Indre jest po tamtej stronie rzeki... Tutaj jest Creuse.

Izydor dostał zawrotu głowy. Zamek Aiguille! departament Creuse! Aiguille Creuse! Otóż rozwiązanie dokumentu! Zwycięstwo więc całkowite i ostateczne po jego stronie.

Nie rzekłszy słowa, odwrócił się tyłem do obydwóch kobiet i odszedł zataczając się, jak pijany.

Rozdział V.

Postanowił działać bez pomocy policyi, obawiając się jej powolnego działania, jej śledztwa nieuniknionego, a wskutek tego, rozgłoszenia całej sprawy. Gdyby się Lupin dowiedział, że miejsce jego schronienia wykryte, uszedłby niezawodnie w tej chwili.

Dnia następnego biorąc manatki pod pachę, opuścił swoją kwaterę, w której mieszkał w okolicy Cuzion. W pierwszem napotkanem zagajeniu zrzucił ubranie rękodzielnika i przeistoczył się znowu w młodego Anglika malarza. W tem przebraniu udał się do notaryusza w Eguzon najważniejszej miejscowości tej okolicy.

Opowiadał mu, że zakątek ten Francyi nadzwyczajnie mu się podoba, i gdyby znalazł odpowiednie mieszkanie, osiedliłby się chętnie z rodzicami.

Notaryusz wymienił kilka nazwisk, które Beautrelet sobie zanotował. Przy tej sposobności zapytał o zamek Aiguille nad brzegiem rzeki Creuse, o którym mu mówiono.

— Tak, lecz zamek Aiguille, który należy od pięciu lat do jednego z moich klientów, nie jest do sprzedania.

— Czy właściciel tam mieszka?

— Tak, mieszkał, a właściwie jego matka. Lecz zamek ten nie podobał jej się, utrzymywała, że za smutny, wskutek tego wyprowadzili się w zeszłym roku.

— Obecnie nikt więc tam nie mieszka?

— Owszem, wynajęty jest na sezon latowy baronowi Anfredi.

— A baron Anfredi jak wygląda? czy młody i dosyć otyły?

Mój Boże, nie wiem... Właściciel sam to załatwił. Obeszło się bez kontraktu, tylko za piśmienną umową...

— Lecz pan znasz tego barona?

— Nie panie! nie wychodzi wcale z zamku... podobno wyjeżdża tylko czasem automobilem i to nocą. Zakupna zaś robi stara kucharka, która z nikim nie rozmawia. Dziwni jacyś ludzie...

— Nie przypuszczasz pan, żeby właściciel chciał sprzedać zamek?

— Wątpię, zamek ten jest historyczną pamiątką, budowany w czystym stylu Ludwika XIII. Wiem tylko tyle, że mu bardzo na posiadaniu tego zamku zależało, chyba, że zmienił zdanie...

— Możesz mi pan powiedzieć jego nazwisko i wskazać mieszkanie?

— Ludwik Valméras, ulica Mont-Thabor, nr. 34.

Na najbliższej stacyi Beautrelet wsiadł do pociągu idącego do Paryża. Na trzeci dzień, po kilku wizytach bezowocnych, zastał wreszcie Ludwika Valméras. Był to człowiek koło lat trzydziestu, o szczerej i sympatycznej twarzy. Beautrelet zdecydował się otwarcie przystąpić do rzeczy. Dał się więc poznać i opowiedział, jakie kroki przedsiębrał, aby dojść do wytkniętego celu.

— Mam wszelkie powody przypuszczać, że ojciec mój uwięziony jest w zamku Aiguille, i to prawdopodobnie w towarzystwie innych ofiar. Prosiłbym więc pana, abyś zechciał powiedzieć mi, co wiesz o swoim lokatorze.

— Nie wiele. Zeszłej zimy w Monte-Carlo spotkałem barona Anfredi. Gdy się dowiedział, że jestem właścicielem zamku Aiguille, zrobił mi propozycyę, abym mu zamek odnajął, miał bowiem zamiar przepędzić lato we Francyi.

— Jest to jeszcze młody człowiek...

— Tak, o energicznym wyrazie ócz i blond włosach.

— Brodę ma trochę ryżą, nieprawda?

— Tak, przedzieloną, ubiera się zwykle skromnie, na sposób anglikańskich księży.

— To on, szepnął Beautrelet, to on, tak, jak go widziałem, rysopis zgadza się zupełnie.

— Jakto!... Pan myślisz...

— Nie tylko myślę, lecz jestem pewien, że lokator pański — to Arsen Lupin.

Historya ta rozweseliła Ludwika Valméras. Znał bowiem wszystkie awantury Arsena Lupin, i przebieg walki między Izydorem Beautrelet. Z radości zatarł ręce.

— To doskonałe! zamek Aiguille stanie się sławnym... nie będę się zresztą o to gniewał, gdyż od czasu, jak się moja matka wyprowadziła, myślałem go sprzedać przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Po takiem zajściu łatwiej przyjdzie mi znaleźć kupca. Tylko...

— Tylko?

— Prosiłbym pana działać w największej tajemnicy, i dopiero w ostatecznym razie wezwać policyę.

Beautrelet przedłożył panu Valméras swój plan. Przedstawił mu, że ma zamiar iść sam, nocą, przejść mur i zaczaić się w parku...

Ludwik Valméras przerwał mu.

— Nie przejdziesz pan tak łatwo tak wysokiego muru. A jeżeli przejdziesz, wpadniesz na dwa olbrzymie psy, które należą do mojej matki, a które w zamku zostawiłem.

— Ba! Jedna pigułka...

— No dziękuję. Lecz przypuśćmy, że pan ujdziesz przed psami, cóż dalej? W jaki sposób dostaniesz się do zamku? Drzwi są żelazne, a okna okratowane. A chociaż byś pan wszedł, któż panu wskaże właściwy pokój? jest ich ośmdziesiąt.

— Tak, ale pokój o dwóch oknach na drugiem piętrze...

— Znam ten pokój, nazwaliśmy go pokojem glicynii. Lecz w jaki sposób go odnajdziesz? W zamku są trzy klatki schodowe i niezliczona moc kurytarzy. Chociaż bym panu dał plan, i opisał drogę, jeszcze byś pan zabłądził.

— Chodź pan ze mną, rzekł śmiejąc się Beautrelet.

— Niemożliwe. Przyrzekłem matce, że przyjadę do niej nad Riwierę.

Beautrelet wrócił do swego przyjaciela, u którego zamieszkał i zajął się zaraz przygotowaniami. Lecz nad wieczorem, w chwili, gdy Beautrelet chciał wyjeżdżać, odwiedził go Valméras.

— Chcesz mnie pan zabrać? zapytał.

— Czy tylko chcę!

— W takim razie towarzyszę panu. Osobliwość wyprawy zaciekawia mnie. Myślę, że się nudzić nie będziemy, i bawi mnie, zostać wmieszany w całą tę sprawę...

Następnie moje towarzystwo nie będzie dla pana bez korzyści. Patrz pan, co przyniosłem, a co, przypuszczam odda nam znaczną przysługę.

To mówiąc, wydobył klucz, przyzwoitych rozmiarów i cały zardzewiały.

— I klucz ten otwiera?... zapytał Beautrelet.

— Małe przejście w murze, opuszczone i nieznane od wieków, przejście to zapomniałem wskazać mojemu lokatorowi. Wychodzi właśnie na pole, wprost na brzeg lasu...

Beautrelet przerwał.

— Znają to przejście. Tędy właśnie zniknął ów nieznajomy, którego śledziłem. Wyprawa zapowiada się więc świetnie, jestem pewien zwycięztwa.

...We dwa dni później do Crozant przybył wóz cyganów, których przywódzca uzyskał pozwolenie zamieszkania za wsią w jakiejś starej stodole. Oprócz przywódzcy, który nie był kim innym jak Ludwikiem Valméras, znajdowało się jeszcze trzech młodych ludzi, zajętych wyplataniem starych krzeseł, j. t. Beautrelet i dwóch kolegów z liceum Janson.

Przepędzili tam trzy dni, wyczekując pomyślnej nocy, bez księżyca. Przez ten czas każdy na swoją rękę, pokryjomu, obchodził w koło zamku. Razu jednego Beautrelet wynalazł owo tajemnicze przejście w murze, zarosłe głogami i prawie niewidoczne.

Nareszcie czwartego wieczoru, niebo zaciągło się czarnemi i dużemi chmurami, a Valméras zadecydował, udać się

na wyprawę. Gdyby zaś zauważyli, że nie skończy się pomyślnie, to mieli się wrócić.

Ostrożnie więc wszyscy czworo przeszli lasek. Następnie Beautrelet doczołgał się do owego przejścia, a kalecząc sobie niemiłosiernie ręce kolcami głogów, zdołał ostrożnie włożyć klucz w zamek. Powoli przekręcił. Czyż furtka ta otworzy się? Czy nie zamknięta przypadkiem zasówką z drugiej strony? Pchnął więc, drzwi otworzyły się bez zgrzytu, bez szelestu. Był w parku.

— Jesteś pan? zapytał Valméras, czekaj pan na mnie. Wy, panowie, zostańcie tutaj na straży, aby nam ucieczkę nie odcięto. Skoro usłyszycie najlżejszy, lecz podejrzany hałas, w tej chwili zagwizdać.

Następnie chwycił Izydora Beautrelet za rękę i zagłębili się w ciemności parku. Po chwili weszli na trawnik środkowy. Równocześnie księżyc wyjrzał z za chmur. W świetle jego ujrzeli zamek z ową wysoką i śpiczatą wieżyczką, której zawdzięczał zapewne swoją nazwę. W oknach nie było światła. Cisza w około.

Valméras uchwycił ramię towarzysza.

— Cicho.

— Co się stało?

— Psy tam... widzisz pan...

Usłyszeli warczenie. Valméras gwizdnął po cichu. Dwie białe sylwetki rzuciły się ku nim i w kilku susach olbrzymie zwierzęta leżały u stóp swego pana.

— Tak grzecznie, dzieci... leżeć tam... dobrze... nie ruszyć się...

Zwracając się zaś do Izydora, rzekł:

— Teraz chodźmy. Jestem spokojny.

— Znasz pan dobrze drogę?

— Tak, zbliżamy się do tarasu.

— A potem?

— Przypominam sobie, że z lewej strony znajduje się jedno okno, którego okiennice źle się zamykają, z łatwością będzemy mogli otworzyć je z zewnątrz.

Gdy doszli do wskazanego miejsca, okiennica przy małem natężeniu otworzyła się rzeczywiście. Dyamentem Valméras przerżnął szybę. Zrobiwszy w ten sposób dziurę, włożył rękę i otworzył okno. W jednej chwili znaleźli się obaj w pokoju.

— Pokój ten, o którym wspominałeś, rzekł Valméras, znajduje się na końcu kurytarza, który dzieli lewe skrzydło na dwie części. Na prawo zaś znajduje się obszerny westybul, zdobiony posągami; w głębi tegoż są schody, któremi wyjdziemy w blizkości pokoju zajmowanego przez ojca pańskiego.

Uszedł kilka kroków.

— Beautrelet, idziesz pan?

— Tak... tak...

— Jakto, przecież pan stoisz... Co panu jest?

Pochwycił go za rękę. Była zimna jak lód. Zauważył, że Beautrelet przysiadł na ziemi.

— Co panu jest? powtórzył.

— Nic... to przejdzie.

— Lecz cóż jest...

— Boję się...

— Pan się boisz!

— Tak, przyznał się Beautrelet... To nerwy... Często mi się zdarza, że nie mogę nad nimi zapanować... a szczególniej dzisiaj, ta cisza... wzruszenie... A potem, od czasu pchnięcia nożem przez owego sekretarza... Lecz, to przejdzie... o już przechodzi...

Zdołał się już podnieść, a Valméras wyprowadził go z pokoju. Po omacku szli przez kurytarz, i tak cicho, że jeden kroków drugiego nie słyszał.

Słaby blask światła zdawał się oświecać westybul, do którego teraz skręcili. Valméras zajrzał. Nocna lampka stała na schodach.

— Stój! szepnął Valméras.

Obok lampki stał mężczyzna, trzymając w ręce fuzyę.

Czyż zauważył ich? Może. W każdym razie coś go zafrapowało, gdyż fuzyę przyłożył do ramienia.

Beautrelet upadł na kolana za jakiemś drzewem, nie śmiejąc oddychać. Serce mu biło jak młotem.

Tymczasem panująca cisza uspokoiła strażującego mężczyznę. Fuzyę opuścił, lecz uporczywie patrzył w stronę owego drzewa.

Upłynęło dziesięć, dwadzieścia minut, strasznych, długich, jak wieczność. Promień księżyca przedarł się przez okienko nad schodami, i długą, jasną smugą leżał na ziemi. I naraz Beautrelelt zauważył, że smuga ta prawie niewidocznie, a jednak porusza się w jego stronę. Może drugie dwadzieścia minut, a nawet dziesięć starczy, aby mu twarz oświetliła.

Krople potu spadały mu z czoła na drżące ręce. Przestrach jego był tak potężny, że chciał wstać i uciekać. Lecz przypomniał sobie, że Valméras jest z nim. Szukał go więc oczyma, i zdziwił się, widząc go, a raczej domyślając się, że czołga się w stronę stróżującego człowieka, korzystając z panujących ciemności, zasłoniony drzewami i posągami. Dochodził prawie do schodów, oddalony zaledwie kilka kroków od człowieka.

Jak postąpi? Czy przejdzie mimo niego? Czy sam pójdzie wybawić więźnia? Lecz czy zdoła przejść?

Beautrelet stracił go z oczu, lecz miał przeczucie, że się coś stanie.

Naraz jakiś cień rzucił się na stojącego na straży, lampka zgasła, było tylko słychać hałas walki... Beautrelet przybiegł. Obydwóch ciała leżały na ziemi. Chciał się schylić, lecz w tejże chwili usłyszał głuchy jęk, westchnienie, równocześnie jeden z napastników pochwycił go za rękę.

— Prędko... chodźmy.

Byłto Valméras.

Weszli na drugie piętro, na kurytarz wyłożony dywanem.

— Czwarty pokój na lewo, szepnął Valméras...

Wkrótce znaleźli drzwi tego pokoju. Jak się tego spodziewali, więzień był zamknięty na klucz. Potrzebowali więc pół godziny, długie pół godziny nadludzkich wysiłków, aby odbić zamek. Wreszcie weszli.

Po omacku Beautrelet doszedł do łóżka. Ojciec jego spał.

Ostrożnie go przebudził.

— To ja, ojcze, Izydor... i jeden przyjaciel... nie bój się niczego... wstań... tylko cicho...

Ojciec ubrał się pospiesznie, a gdy mieli wychodzić, rzekł im:

— Nie jestem sam w tym zamku...

— Ah! któż jest Ganimard? Holmes?

— Nie, nie widziałem ich przynajmniej.

— Więc kto?

— Jakaś panienka.

— To panna de Saint-Véran bez wątpienia.

— Nie wiem. Widziałem ją z daleka kilka razy w parku... następnie wychylając się z mojego okna widzę jej okno. Dawała mi znaki.

(Ciąg dalszy nastąp).

Wśród walki z losem.

19) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— A dlaczego mi go pani powiedzieć nie możesz?

— Muszę pierwej o to zapytać doktora.

Helena zamilkła, ale baczne oko dozórczyni dostrzegło to wkrótce, że chora nie spuszczała z niej oka dopóki nie popadła w pokrzepiający sen.

Wieczorem, gdy pozapuszczano zasłony u okien i pozapalano światła, spostrzegła, że ciemne oczy znów na nią były zwrócone i pilnie każde jej poruszenie śledziły. Nagle chora ozwała się głosem, którego dźwięk przeraził staruszkę: Pani jesteś matką mr. Merricka.

— O, moje dziecię! musiało ci się znacznie polepszyć — zawołała uradowana, przybiegając do chorej i patrząc na nią z troskliwością. — Jak żeś się tego mogła domyślić?

— Jesteś pani tak podobną do niego; te same rysy, tylko mniej surowe, łagodniejsze.

— To go sobie przypominasz? — zapytała nieśmiało.

— O, bardzo dobrze. Ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy był w Weddercombe.

— Daj teraz temu pokój, będziemy miały jutro dość czasu mówić o tem — przerwała roztropna dozórczyni.

— Ale...

— To jedno tylko pamiętaj, że mój syn, Walenty, pozostanie na zawsze twym najwierniejszym przyjacielem, na którego w każdej chwili liczyć możesz. Gdyś zachorowała, on mię natychmiast wezwał, bym przyjechała pielęgnować cię; a teraz bądź spokojną i nie kłopoc się o nic więcej. Niech mi moja córeczka, którą niezadługo będę musiała uczyć chodzić, moje starania wynagrodzi posłuszeństwem i nie myśli już o niczem tej nocy.

— Będę się starała. Ale czy mogę panią nazywać matką? Już to raz zrobiłam, wtedy odzyskałam po raz pierwszy przytomność.

— Naturalnie, jeżeli chcesz, i jeżeli ci się to wydaje tak naturalnem, jak wtedy. Dobrze, mów mi „matko“. Moja mała Marynia, gdyby była żyła, byłaby właśnie w twym wieku. Tak mi młodo umarła, a jakąż pociechą byłaby teraz dla mnie. — To ostatnie słowo wymówiła z cicha do siebie samej, chora jednakże dosłyszała je i ozwała się:

— A syn nie jestże pociechą dla pani?

— Jest najlepszym, najprzywiązańszym synem, Heleno, zacny, prawy mężczyzna, który dumą napełnia me macierzyńskie serce; ale zmuszony żyć wśród świata i nie wiele go widuję. To los wszystkich matek.

— Czyż on musi koniecznie tak wiele żyć w świecie?

— Świat uwielbia go, a powołaniem jego jest żyć wśród świata, a nie przy boku matki.

— To nie musi być bardzo mądrym człowiekiem.

— O, jest mądrym bardzo, niezmiernie mądrym, dzięki Bogu — odpowiedziała z dumą.

— Czy on...

— Ani słowa więcej na dzisiaj, Heleno — przerwała mrs. Merrick. — Rozgadałam się w najlepsze, bo, gdy zacznę mówić o mym synu, tobym nigdy nie skończyła, a zapomniałam, że ci potrzeba spokoju. Doprawdy, muszę się wstydzić przed sobą samą.

Helena zasnęła wkrótce. Mrs. Merrick siadłszy przy jej łóżku, poczęła rozmyślać nad mianą co dopiero rozmową, a ciekawość i dokładność, z jaką ją chora wypytywała, przekonały ją, iż Helena w kilka dni wszystko wiedzieć będzie. Siły jej ducha wracały szybko i zbroiły do dalszych walk. Cóż jej przeznaczonem? zwyciężyć, lub uledz?

Zanim się mrs. Merrick udała na spoczynek napisała jeszcze list do swego syna, znajdującego się obecnie w Londynie. Już był opuścił Hernley, bo czas feryj sądowych już minął, a nawał pracy tak był wielki, że nie miał nawet i czasu pomyśleć o Florze Andison.

W dwa dni niespełna po otrzymaniu listu Walenty Merrick nie wiadomo, czy to powodowany tęsknotą za swą matką, lub też jakiem innem uczuciem, wsiadł do wagonu I. klasy i nie zabierając żadnego pakunku, podążył wprost do Clingford. Nie zatrzymując się i chwili, najął pierwszy lepszy powóz i kazał co koń wyskoczy jechać do Weddercombe. Matka przyjęła go z rozwartemi ramionami, wymawiając przytem, że jej poprzednio o swem przybyciu nie uwiadomił. Przyjechałem tylko na parę godzin, mateczko, nie wiele mam czasu; jeszcze dzisiaj muszę wracać do Londynu. Jakże jest? Co mówiła? Czego jeszcze nie wie? Mów, matko.

— Ależ kochany synu, jakże ci mogę naraz na tyle pytań odpowiedzieć; niech ci wprzód na jedno odpowiem. Ona już wie wszystko.

— Kiedy jej powiedziałaś?

— Wczoraj wieczór. Ona pamięta wszystko.

— Pamięta wszystko! I wie, że to moje dzieło. Znienawidziła mnie, rzecz naturalna.

— Nie wspomniała wcale o tobie.

— O, to zły znak.

— Stała się bardzo poważną, zobojętniała na wszystko, ale wiadomość o śmierci mrs. Graves była dla niej nowym ciosem.

— Wy ją zabijecie przez wasze niedołęstwo! — zawołał. — Szkoda, żem tu nie pozostał, bym jej to sam powiedział. Jeżeli ona umrze, nie będę miał całe życie chwili spokojnej. Bo, dali Bóg, będę jej zabójcą!

— Ależ moje dziecko, nie irytujże się niepotrzebnie — uspokajała matka przestraszona tym wybuchem.

— Masz słuszność, uniosłam się bez potrzeby, ale los tej nieszczęsnej kobiety, tak srodze sponiewieranej ciąży mi na duszy jak ołów i czuję się odpowiedzialnym za wszelkie następstwa.

— Ona przecie może wyzdrowieć.

— Może wyzdrowieć! Sprawiedliwy Boże! Więc jej się pogorszyło? Przez twoją nieroztropność wszystko popsułaś, matko. Przeczuwałem zaraz, skoro tylko przybyłem, że tu nie wszystko w porządku.

I począł gwałtownemi, niespokojnemi krokami chodzić po pokoju. Zdumiona patrzała na niego w milczeniu.

Nagle zatrzymał się i stanął przed nią. Powiadam ci, matko, że tę Helenę Barklay będę miał na sumieniu. Moja pycha i zarozumiałość złamała jej życie i przedwcześnie wtrąciła do grobu. Kiedy doktór przyjdzie?

— Jest właśnie u niej.

— Dobrze.

Usiadł czekając na doktora spokojny na pozór, ale nerwowe od czasu drganie jego członków zdradzało burzę, jaka wrzała w jego duszy. A gdy dr. Dünford ukazał się na progu, Walenty, który niewątpliwie go oczekiwał, porwał się tak nagle z krzesła, na którem siedział, że doktór przestraszony cofnął się w tył.

— Jak jej jest? Co pan sądzisz o jej stanie?

— Ach, mr. Merrick! Wszakże się nie mylę? Miałem zaszczyt poznać pana w Hernley-hall. Jakże zdrowie pańskie? Jeżeli pan jedziesz do Hernley, to możemy...

— Nie o to chodzi, dokąd ja jadę — przerwał Walenty z gniewem. — Jak jest pacyentce pańskiej?

— Żałuję, że nie mogę powiedzieć nic pocieszającego, jest gorzej dzisiaj. Znajduje się w stanie zupełnie przytomnym, ale ta nowa wiadomość zbyt silnie oddziałała na jej wyniszczony organizm.

— To twoja wina, matko! — zawołał niewdzięczny syn.

— Cóż ja miałam począć, kiedy umierała prawie z niespokojności, — mówiła z płaczem prawie łamiąc ręce biedna kobieta.

— Doktorze, wyjdzie ona z tej choroby? — rzekł Walenty zwracając się do lekarza. — Mów pan otwarcie, nie ukrywaj przed nami prawdy.

— Choroba się skończyła. Czy jednakże nie ulegnie wycieńczeniu, które jest naturalnem jej następstwem, to inna rzecz.

— A pan jak sądzisz?

— Obawiam się, że ulegnie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Mrs. Merrick załamała ręce z rozpaczą.

Walenty popatrzył bystro w oczy doktorowi. — Pan znasz całą historyą? — zapytał.

— Tak jest.

— I wiesz pan także, jaki w niej brałem udział?

— Wiem.

— Nie zaszkodziłoby jej, gdyby się ze mną widziała?

— Mój dobry panie, co do mnie...

— Chciałbym tylko parę słów z nią pomówić. Zachowam się z największą ostrożnością — prosił.

— Jeżeli ona nie będzie miała nic przeciwko temu, ja pozwalam.

— Matko, bądź tak dobra, zapytać ją.

— Mrs. Merrick spojrzała na syna zdziwiona nieco, a powstawszy udała się do pokoju chorej.

— Ach, jakże długo pani nie było — wyszeptała osłabionym głosem, gdy się mrs. Merrick zbliżyła do jej łóżka.

— Tak ci się dłużyło za mną? — odpowiedziała ta ostatnia mile dotknięta tą przyjacielską wymówką. — Byłam na dole u mego syna.

— Pani syn jest tutaj?

— Odjeżdża zaraz napowrót do Londynu. Prosi, by się mógł z tobą widzieć, jeżeli pozwolisz. — Umilkła nie śmiejąc dokończyć, bo nie wiedziała jakie wrażenie zrobi ta prośba.

— I owszem, miło mi będzie widzieć go — była powolna odpowiedź.

Mrs. Merrick wyszła pozostawiając Helenę samą, by się mogła na to spotkanie przygotować, ale ta leżała spokojna i obojętna na wszystko. Wkrótce też matka i syn ukazali się w pokoju chorej, a ona powitała ich słabym uśmiechem.

— Dziękuję pani, o dziękuję, żeś nie odmówiła mej prośbie i pozwoliła widzieć się — rzekł Walenty nieśmiało z uszanowaniem dotykając ustami jej wychudłej ręki.—Jedno mam tylko pragnienie i o to przyszedłem błagać panią, byś mi darować raczyła okropną krzywdę, jaką jej wyrządziłem.

— Nie mam co przebaczać — rzekła słabym głosem. — Obowiązkiem pana było czuwać nad Florą Andison i starałeś się to wypełnić.

— Nie, nie, postępowanie moje było okrutnem i srogiem.

— Przebaczam panu, przebaczam z całego serca, już przez sam wzgląd na tę drogą przyjaciółkę, która mię tak troskliwą otacza opieką — dodała spojrzawszy z wdzięcznością na mrs. Merrick i znów słaby uśmiech błogiego spokoju przebiegł jej usta.

— Uśmiech nie z tego świata — pomyślał Walenty z boleścią — tak, ona umrze.

— Poczciwa Flora — ozwała się po chwili — słyszę, że pragnie mnie odwiedzić. Możnaby już pozwolić jej przyjść.— Znużona przymknęła oczy, a matka dała znak Walentemu, by się oddalił. Nieśmiało, łagodnie dotknął ustami ręki chorej poszepnąwszy kilka słów pożegnania dla niej tylko samej zrozumiałych i powstał, by się oddalić, ale ona zatrzymała go.

— Pozostań pan jeszcze chwilkę, proszę.

Walenty usiadł.

— W mem biurku na dole znajdziesz pan zapieczętowany papier. Proszę, weź go pan i w razie mej śmierci postąp według jego treści. Gdybym zaś miała pozostać przy życiu, to pan będziesz łaskaw oddać mi go, a jeżeli umrę, zechceszże pan wtedy pamiętać o jego synowcu?

— O czyim synowcu? — spytał Walenty nachylając się ku niej, by lepiej zrozumieć jej słowa.

— O synowcu Michała Barklay. Biedny Artur! Jego życie nie było weselszem od mego, a ja go tak niesłusznie posądziłam. Staraj się pan odszukać go i być mu użytecznym.

— Zrobię wszystko, co tylko będzie w mej mocy, przyrzekam to pani — odrzekł uroczyście.

Usta chorej poruszyły się, jakoby szepcąc słowa podzięki, ale żaden dźwięk przez nie się nie wydobył i tylko szeroko rozwarte ciemne oczy posyłały mu jakby z za grobu dziękczynne spojrzenie. Walenty podniósł się i wyszedł, matka podążyła za nim.

— Bądź zdrowa, matko — rzekł całując ją — jak sądzisz, nie zaszkodziłem jej?

— O nie, nie sądzę przynajmniej. Jesteś teraz spokojniejszy?

— Tak — odpowiedział — jestem tak spokojny jak człowiek, który ma życie drugiego na sumieniu.

— Zbyt sobie tę rzecz bierzesz do serca, Walku, to nie według twego zwyczaju.

— Tak, to nie według mego zwyczaju.

— Pojedziesz do Hernley?

Spojrzał na zegarek. — Nie, nie mam tyle czasu, nie jestem też do tego usposobiony.

— Wezmą ci to za złe.

— Prawdopodobnie.

— A Flora?

— Ach, Flora! Naturalnie muszę ją widzieć, inaczej wyrznie mi sążnisty list, na którego odpowiedź będę musiał poświęcić pół godziny mego drogiego czasu. Tak, w rzeczy samej, muszę ją zobaczyć. Ale Percy zacznie mi znowu dokuczać. Był on tutaj?

— Przychodzi dowiadywać się dwa razy na dzień.

— I Flora także?

— I Flora także.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIENNIK ZWIĄZKOWY
„ZGODA“
ORGAN ZWIĄZKU NAR. POL.
W STAN. ZJEDN. PÓŁN. AM.

Jedyne, polityczne, niezależne pismo polskie za Oceanem, kierujące opinią publiczną i wywierające olbrzymi wpływ na stosunki polsko-amerykańskie.

TRZY WYDANIA: **Codzienne wydanie.** Tygodniowe dla mężczyzn. Tygodniowe dla kobiet.

Dziennik Związkowy „ZGODA“, powinien się znajdować we wszystkich lokalach publicznych w kraju, jako najlepszy informator we wszelkich sprawach odnoszących się do Polaków za Oceanem.
8 stron, 28 kolumn oryginalnego tekstu codziennie.
Prenumerata wynosi rocznie dol. 4,80 ct. Półrocznie 2,40. Kwartalnie 1,20.
Na żądanie wysyłamy numery okazowe. Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy: Dziennik Związkowy „ZGODA“ 102—104 W. Division str. Chicago, Ill. s. U. S. N. Am.

CYRKULACYA
100,000 EGZEMPLARZY.

Najpopularniejsze Czasopismo w Stanach Zjednoczonych prawdziwie odzwierciadlające życia polskiego w Ameryce. Zasilane stale interesującemi korespondencyami z każdego zakątka emigracyi polskiej w Ameryce. Największy i najstaranniej redagowany dziennik polski na obczyźnie.

Rewerendy,

płaszcze, oraz wszelką inną garderobę znaną z dobrego kroju
poleca 347
Przewielebnemu Duchowieństwu

W. Frąckowiak, Poznań,

Plac Wilhelmowski 18.
Dom Przemysłowy.

Hurtownie! Detalicznie!

Mydła,

sody, mączki, świece, szczotki.
Wszelkie artykuły do prania i oświetlania
w wyborowych gatunkach, po nizkich cenach
poleca 369

Drogerya Centralna

J. Czepczyński
Poznań.
Skład detaliczny: **Stary Rynek 8.**
Magazyny hurtowne: **ulica Południowa 3.**



Około
500
gotowych
warkoczy
i
1000-ce
innych dodatków włosowych stale na składzie poleca
SALON de PARIS
St. Kaczmarek
Rycerska 2, przy pl. Wilhelm.
Skład fryzyerski tylko dla pań
(dla panów osobny skład obok.)
Kobieca usługa. Panie nie potrzebują się więc absolutnie krępować. 449
Brązowe znaczki rabatowe. Zamiejscowym rabat w gotówce.



Kto szuka:

pracy,
posady,
służby,
mieszkania,
zbytu towarów,
reklamy wyrobów
dzierżawy,

kto potrzebuje:

rządzców,
urzędników,
ekonomów,
leśniczych,
pomocników,
pokojówek,
kucharzy,
kucharek,
służby,

kto chce:

nająć mieszkanie, kupić lub sprzedać majątki, goścince, handle, gospodarstwa itd., pożyczyć pieniędzy, lub podać cośkolwiek do wiadomości ogółu
najlepiej i najtaniej uzyska to przez
ogłoszenia „Pracy.“

Najtańsze źródło zakupu materyałów opałowych.

Bracia Nitschke, Poznań

Główne biuro przy ul. Piekary 26.
Tel. 2189. 12
I. skład przy ul. Kolejowej obok placu Liwoniusza
II skład przy ul. Jadwigi 18.
Węgle kamienne **1,20** mk. za centnar, brykiety **1,10** mk. za centnar z dostawą do domu.
Na miejscu lub większe zamówienia taniej. Przy zamówieniach zamiejscowych proszę poprzednio żądać oferty.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** [2
Kąpiele elektryczne świetlane.
Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.
Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Klinika prywatna Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne, dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych.
Poznań, Plac Piotra nr. 4
(Petriplatz) 208
TELEFON 893.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.
przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 33

Zakład dentystyczny.

Praktykuje od r. 1889.
Wprawianie sztucznych zębów. Plomby.
Zatruwanie nerwów i leczenie chorych zębów. 507
J. Czerwiński
Poznań, św. Marcin 53.
Dom ogrodowy I p.

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii“** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju.
Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate Februar-März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,00 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,00 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den .... 1910.

Kaiserl. Post..............................

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Pracy“.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.